MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 34. WARSZAWA, 7 SIERPNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

HITLERYZM A KATOLICYZM

Wybory do parlamentu Rzeszy Niemieckiej wytworzyły sytuację, w której jedynie jawna lub zamaskowana współpraca Centrum katolickiego z hitlerowcami zapewnić mogłaby *Reichstag*'owi zdolność do życia. W tych warunkach zagadnienie stosunku hitleryzmu do katolicyzmu nabiera szczególnej aktualności. (Przyp. Red.).

W MOMENCIE, kiedy do władzy doszło w Niemczech „prawe skrzydło centrum“, t. j. w którym von Papen zluzował w pałacu kanclerskim Brüninga, wpadła mi w ręce broszura innego katolika, znakomitego, może najznakomitszego dziś tego obozu w Niemczech publicysty, osiadłego w Wiedniu Niemca z Rzeszy, redaktora „*Schönere Zukunft*“, Józefa Eberlego, autora cennych dzieł o skażeniu prasy współczesnej i o przewagach plutokracji [1]).

I

Broszura Eberlego [2]) napisana została po wielkiem zwycięstwie hitlerowców z jesieni 1930 r., kiedy to, jak pamiętamy, wybory do „*Reichstag*'u“ dały im 107 mandatów. Odtąd szedł hitleryzm — jak stwierdza Eberle — naprzód „z gwałtownością pożaru preryjnego“. Porywał on za sobą poszczególne kraje Rzeszy (Badenję, Meklemburgję, Turyngję, Prusy), a po za Rzeszą Gdańsk i rekrutował sobie adeptów pośród protestantów i katolików. Co prawda, pośród tych ostatnich objawiała się co pewien czas gwałtowna przeciwko niemu reakcja i tak, gromił go kardynał wrocławski Bertram, potępiała enuncjacja łączna episkopatu bawarskiego, występował przeciwko niemu arcybiskup Moguncji i t. d.

Eberle, jakkolwiek związany z „centrum“, w szczególności zaś z osobą Brüninga, nie chce jednak w stosunku do nowej doktryny stawać na gruncie prostej jeno negacji. Przeciwnie wychodzi on — i w tem leży oryginalność jego poglądu — z założenia, że, jeżeli hitleryzm jest ruchem skrajnym i, chociażby z powodu już rozmaitości składników swoich, niejednolitym — to przecie geneza jego jest logiczna, bo „warunkowana“ tym całym chaosem powojennym, który nosi miano „republika niemiecka“.

II

Eberle jest katolikiem — konserwatystą i monarchistą. Wywodzi się on z wielkiej katolickiej szkoły socjologicznej, której korzenie tkwią w arystoteliźmie i platoniźmie, w naukach św. Augustyna i św. Tomasza. Szkoła ta wydała w ostatniem stuleciu takich przedstawicieli, jak Niemcy Müller, Goerres, Ketteler i Windthorst, jak Szwajcar Haller, jak Francuzi de Maistre, de Bonald i Lacordaire, jak Hiszpanie Cortes i Balmes.

Szkoła ta, jak słusznie podnosi Eberle, gruntuje podstawy swoje na „tragicznym poglądzie na świat i ludzkość, na dogmacie o grzechu pierworodnym i jego skutkach, na przekonaniu o istnieniu w świecie sił demonicznych“, przeciwstawia się zatem i jak najbardziej stanowczo zarówno płytkiemu optymizmowi zmaterjalizowanego żydostwa, jak i naturalistycznemu eudajmonizmowi Russa. Z drugiej zaś strony — a idziemy tu wciąż dalej za autorem broszury—patrzy ta szkoła na jednostki i na ludy jako na organizmy, na ich rozwój jako na rozwój organiczny, uważając, że wszelka teraźniejszość wywodzi się z praw rozwojowych historji. Z tych dwóch też przesłanek wypływa

---

[1]) *„Grossmacht Presse. Enthüllungen für Zeitunggläubige „Forderungen für Männer“* i *„Die Überwindung der Plutokratie“. XV Aufsätze über die Rechristianisierung der Politik und Volkswirtschaft.“*

[2]) *Eberle Joseph dr.: „Zum Kampf um Hitler“. Ein Reformprogramm fuer Stats- Wirtschaft und Kulturpolitik llur Überwindung des Radikalismus“. Wien, Regensburg. Verzag „Schönere Zukunft“* 1931. 24-26 *Tausend der Gesamtaufage*, str˙ 53.)

znów konkluzja, że dla tej szkoły niema — poza religją i wynikającą z niej moralnością — dóbr bardziej cennych, niż autorytet i tradycja, jako te dwie szkarpy, podtrzymujące gmach społeczny, jako te dwie zapory, przeciwstawiające się wspomnianemu wyżej demonizmowi zła.

III

Zestawmy teraz z postulatami socjologów katolickich stan rzeczy w Europie powojennej, w szczególności zaś w republikańskich Niemczech:

„W całym świecie“ — pisze nasz autor — „szerzy się wytrwale zamaskowany, ale na wielką skalę „*Kulturkampf*“. Nie należy bowiem“ — stwierdza Eberle — „ograniczać pojęcia „*Kulturkampf*'u“ do formy nadanej mu bądź przez Bismarcka bądź też przez rządy: meksykański i sowiecki. Istnieją także formy „*Kulturkampf*'u“ dużo subtelniejsze. Z tych zaś za najważniejsze w dzisiejszych czasach (uważa autor) z jednej strony — pauperyzację ludności tradycjonalistycznie chrześcijańskiej i ekonomiczne zepchnięcie jej do katakumb, pauperyzację wywołaną specjalnem (zgoła) kierownictwem życia gospodarczego; z drugiej zaś strony — pełną sekularyzację życia publicznego wraz z systematycznem pielęgnowaniem nastawionego na doczesność humanizmu i naturalizmu.“

IV

Na tle tego rodzaju przesłanek daje nam Eberle wysoce trafny przekrój Niemiec republikańskich. Cytuje więc najpierw na polu literatury: Ludwiga, Bülowa i Remarque'a — trzy nazwiska największą budzące sensację, najwyższe przedstawiające nakłady, a z których każde, z punktu widzenia zdrowo pojętego patrjotyzmu niemieckiego, takie, zdaniem autora, wykazuje minusy, że samo już przez siebie prze i poniekąd uprawnia do zdecydowanej nacjonalistycznej reakcji.

Więc Ludwig, piszący o Wilhelmie II nie pod kątem wielkiej tragedji listopadowej narodu, lecz tylko skandalików dworskich i alkowianych, więc — Remarque, któremu nawet szlachetny pacyfista Förster zarzucił, iż

„zapoznaje całkowicie przewagi moralne uzbrojonego narodu, zwycięstwa inteligencji, woli, patryjotyzmu, samozaparcia, karności w stosunku do nie dających się wypowiedzieć wymagań, jakie wojna stawiała sile nerwów, sile ducha i sile poświęcenia“.

A wreszcie — Bülow, ten nieoceniony Bölow, ten „węgorzowaty“ przedstawiciel starszego pokolenia, jakich to tylu w sklerotycznych łuskach chodzi po dziś dzień nietylko po Berlinie, ale i po Warszawie:

„Sądzi on“ — pisze o nim świetnie Eberle — „sprawy polityczne wyłącznie pod kątem sukcesu, bez względu na to, czy poza zwycięstwem czai się łajdactwo, a poza klęską stoi bohaterstwo narodowe: jest w dodatku ślepy w stosunku do właściwych sprężyn dziejów świata, jak chrześcijaństwo lub humanitaryzm, jak nacjonalizm lub marxizm, jak masonerja lub plutokracja i t. p., jakkolwiek wobec takich sił dyplomacja wydaje się wielokrotnie zależnem jedynie narzędziem czy też tubą.“

V

Tak oto — wedle publicysty katolickiego — wygląda właściwy duch Niemiec republikańskich. U szczytu rządziła w nich przez lat kilkanaście demokracja socjalna, o której inny katolik, biskup Ottokar Prohászka, powiedział był trafnie, że jest ona ową budową palową, którą przeprowadzono poprzez stojące wody i bagna proletarjatu. Odprowadźcie te wody (osuszcie te bagna), a wtedy i same pale okażą się zbyteczne...“

Eberlemu dobrze jest wreszcie znana współczesna literatura krytyczna o demokracji: prace francuskie Fagueta, Jouvenela czy Delaisi'ego wykazujące, jak to ludowładztwo bywa z reguły parawanem tylko dla plutokracji, zna on również dotyczącą literaturę amerykańską, która przedstawia Stany jako kraj, gdzie o wyborach, o ustawach i o wyrokach rozstrzygają „*trust*'y“, gdzie rządzą awanturnicy w guście Pullitzera czy Gordon-Bennetta, kraj, o którym powiedział Henry George, że ludzie uczciwi w rodzaju Franklina czy Washingtona nie mieliby teraz żadnych już szans dostania się do Kongresu. Powołując się w konkluzji na wywody współczesnego mu Szwajcara de Reynolda, opinjuje Eberle:

„Świat nie wydaje się zgoła dojrzały do demokracji wbrew wszelkiej gadaninie ze strony liberalnych profesorów i socjalistycznych mówców, ludzkość wydaje się mniej dojrzała, niż np. w wiekach średnich. Człowiek bowiem średniowieczny, a nawet człowiek siedemnastego i osiemnastego stulecia, miał wiele wad, ale przytem moc zrozumienia i poświęcenia dla wniosłych ideałów“.

To była epoka krucjat, tumów, *chiostr*'ów i Madonn. Dzisiaj za to mamy epokę Kiepury, Kusocińskiego, Boda, Józefiny Baker.

VI

Na tło epoki rzuca Eberle dalej projekcję współczesnych Niemiec w dziedzinie ekonomicznej, społecznej i ustrojowej. Nie oskarża przytem i nie przeczernia własnej ojczyzny:

„Czyż duch Bismarcka“—pyta się słusznie—ostrzejszego jest godzien potępienia, niż francuskie masoństwo lub też anglosasko-żydowska plutokracja?“

I w tym punkcie dochodzi Eberle do sprawy żydowskiej. Chciałby ją mieć załatwioną odrębnie, niż planuje to hitleryzm, ale ustala, że załatwioną być musi. Wskazuje przytem znów na bogatą już literaturę katolicką w tej materji (Albert-Maria Weiss, Karol von Vogelsang, Alojzy Liechstenstein, biskupi Waitz i Prohaszka, OO. Bangha i Bonsirven, tomista Deploige). Zdaje sobie przytem jasno sprawę nasz publicysta z duchowego zażydzenia swojej ojczyzny (Ludwig, Hirschfeld, Bernhard, Piscator, Reinhardt, Kaiser, Toller, Kalman, Benatzky i tylu innych), zdaje sobie dokładnie zwłaszcza sprawę z materjalnej przewagi Izraela. I dlatego woła o reakcję.

VII

Dwa fakty: razu pewnego — a cytuję wciąż Eberlego — zawieszono na pewnej wystawie monachijskiej bluźnierczo przedstawiony krucyfiks. Nie sprzeciwił się temu katolicki rząd bawarski. Wówczas zażądał Hitler ultymatywnie zdjęcia tego przedmiotu i ultymatum jego odniosło oczywiście skutek. Fakt drugi: w żydowskim Frankfurcie urządzili komuniści (pod osłoną „*Schupo*“) szyderczą procesję Boże-narodzeniową z drzewkami, na których wisieli „*in effigie*“ księża. I znowu „*nazi*“ wymogli usunięcie tej procesji.

Wymowne to fakty. Nie twierdzi Eberle, jakoby pośród „*nazi*“ działali ludzie osobliwego nabożeństwa, owszem stanowczo ich „*Hackenkreuz*'owi“ się przeciwstawia. Ale zapytuje pośrednio, gdzie się zaszyli wtedy prawdziwi katolicy, których nie brak przecie w Monachjum ani we Frankfurcie: „z wiary waszej wola wasza, z woli waszej czyn wasz będzie“.

VIII

Jak równo lat temu dziesięć na ulicach włoskich, tak dzisiaj na agorze niemieckiej — jasno to dla mnie wynika z broszury Eberlego — trjumfuje wola, wola młoda czynu, sławy i potęgi. Ale jeżeli ten faszyzm niemiecki zwycięży ostatecznie, może się w nim snadnie potem odsłonić ów brak głębszych, z religji płynących, podstaw moralnych, któremu niejeden już uległ nacjonalizm. Więc pytać się dzisiaj można, jak się zachowają katolicy niemieccy? Czy pójdą za Papenem czy za Brüningiem? Czy naśladować będą opłakany *„gran rifiuto"* don Sturzy, czy wydadzą Niemcy po Piłatowemu na lep i łup niskich instynktów zaborczo-polakożerczych, czy raczej zechcą i potrafią być strojem w rozstroju, ostoją w zamęcie rozumów i czy nad lasem pałek gumowych wznieść nie zapragną prostego — nie tego *„Hackenkreuz*'owego" — krzyża?

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

PIERWSZE JASKÓŁKI

W WOJNIE ŚWIATOWEJ i w pierwszem po niej dziesięcioleciu polityka międzynarodowego żydostwa osiągnęła szczyty powodzenia i zwycięstw. Ale po drugiej stronie szczytów, zamiast wygodnego płaskowzgórza „ziemi obiecanej", przed oczami Benjaminków Nowoczesności zamajaczyła przepaść, ziejąca mgłą beznadziejności. Wobec tego w bieżącym roku 1932 kierownicze sfery żydowskie ogarnęła panika, której wyrazem zewnętrznym stały się wszczęte obecnie przygotowania do zwołania światowego kongresu żydowskiego pod hasłem ratunku. Co się stało mianowicie? Sprawa z lotu samolotu przedstawia się, jak następuje:

Bez mała trzy tysiące lat trwająca historja koczowniczego żydostwa w jego stosunku do innych narodów polega wyłącznie na wszechstronnem doskonaleniu stale stosowanego oszustwa, na wynajdywaniu coraz nowych jego form we wszystkich życia dziedzinach — od handlu do metafizyki. Pomimo tak wielkiej rozpiętości wszystkie te, bez wyjątku, oszustwa zgodnie do jednego zawsze celu zdążają: do zatrucia, rozkładu i zniszczenia tych narodów, w których wnętrzu żydzi się osiedlili. Oprócz bez liku faktów, przez historję ustalonych, ten nieprzerwany do dnia dzisiejszego, a gruby, z tysiąca nici spleciony, sznur oszustw w całej nagości ujawniają wszystkie księgi i wynurzenia żydowskie, od Tory począwszy a kończąc na współczesnym programie politycznym Aszera Ginsberga.

W narodzie koczowniczym i kalekim, bo złożonym z jednej tylko warstwy — handlarzów (nie kupców), w narodzie opanowanym przez jedno wyłącznie uczucie—nienawiści do wszystkich i wszystkiego (do ludzi i przyrody), w narodzie oddanym jednej wyłącznie idei — megalomanji panowania nad światem, w narodzie uprawiającym oszustwo, jako uświęcony swój zawód duchowy i narodowy, w narodzie takim w nieprzerwanym ciągu kilku tysięcy lat musiał dokonać się szczególny dobór naturalny typu rasowego, jaki istotnie w żydzie widzimy obecnie. Sprytny oszust, fałszerz i prowokator, aktor o stu maskach, uniżony i bezczelny, tchórz i oprawca, dokuczliwy i napastliwy jak mucha, niechlujny i cyniczny materjalista, chciwy na złoto a pracą gardzący faktor, komiwojażer, lichwiarz i pasorzyt — stał się żyd w tych i tym podobnych cechach figurą znaną narodom europejskim, figurą napół komiczną, lecz w gruncie rzeczy, wzgardę i nienawiść w ludziach budzącą.

Zoologiczny antyhumanizm żydów w połączeniu z całem plugastwem ich duszy musiał, naturalnie, wywoływać w narodach zdrową reakcję w postaci tak zwanego antysemityzmu. Stąd też wędrownym taborom żydów towarzyszy wszędzie i zawsze odraza i przekleństwo ze strony każdego narodu, najazdem żydowskim dotkniętego. Historja żydów stała się przeto typową historją pasorzytów: składa się z podstępnych napaści i hałaśliwych ucieczek. Przez długie jednak wieki udawało się żydom zacierać ślady za sobą i do coraz innych krajów się wciskać, a to dlatego, że w ciągu tych wieków narody i kraje żyły w odosobnieniu wzajemnem, nie znając technicznych środków łączności, które wynalazł dopiero wiek dziewiętnasty. Tym sposobem świadomość niebezpieczeństwa żydowskiego zapalała się i gasła kolejno w czasie i przestrzeni, zawsze tylko w charakterze zjawiska chwilowego i miejscowego, a ze względu na nieznajomość sprawy — słabego i ułamkowego. Taki stan rzeczy pozwolił żydom, jako handlarzom i koczownikom, przerzucać się z miejsca na miejsce, osiedlać się, uciekać i powracać, a wreszcie zorganizować swoje rozproszenie wśród narodów na wzór sieci w morze zarzuconej — niewidocznej, a jednemu kierownictwu podległej. Dało to żydom ogromne przed innemi narodami szanse robienia „interesów", zarówno pieniężnych, jak politycznych. Wiemy, jak znakomicie żydzi te szanse wyzyskali.

Wiek dziewiętnasty (i początek dwudziestego) w swojem zawrotnem tempie przemysłowo-handlowem stał się złotym wiekiem rozproszonego ciałem, ale zwartego duchem żydostwa światowego. Lecz jednocześnie, z powodu szalonego rozwoju technicznych środków łączności, oraz liczebnego i duchowego rozrostu wszystkich narodów cywilizowanych, sieć rozproszenia żydowskiego siłą rzeczy zaczęła się kurczyć i na powierzchnię świata ludzkiego wynurzać. Koleje żelazne, parowce, samochody, samoloty, prasa, telegraf, radjo, udział mas w życiu społecznem i politycznem — wszystko to nagle i bezpośrednio zbliżyło narody do narodów, tysiąckrotnie skróciło odległości czasu i miejsca, obudziło narodową samowiedzę ludów i każdemu wśród nich zjawisku społecznemu udzieliło tyle światła dziennego, że nic i nikt nie zdoła się już przekraść w pomroce i przebraniu. Polityka żydowska nie uniknęła też losu sowy, przyłapanej nagłem słońca pojawieniem: usiadła ogłupiona i ślepa na kominie cywilizacji współczesnej, oglądana przez wszystkie narody jednocześnie. Żydzi sami dzielnie do tego się przyczynili, w bezczelności swej bowiem przed czasem za zwycięsców siebie uznali i ogłosili. Wzmożona, a wreszcie wstrząśnięta czujność narodów wyraziła się po wojnie światowej tak obfitą i poważną literaturą antysemicką i tak świadomem sprawy, a mocnem

stanowiskiem nowych pokoleń, że oczy żydowskich sfer kierowniczych pod niebem najwyższego powodzenia żydów ujrzały przepaść najniższego ich upadku. Stąd powstał gwałt o światowy kongres żydowski pod hasłem ratunku.

Jednakże sama jawność tego gwałtu świadczy o tem, że żydzi przygotowują nowe szalbierstwo międzynarodowe. Jak każdy zresztą kongres żydowski, będzie i ten posiadał dwie części obrad: jedną jawną, a drugą poufną. Do jawnej już zaczęły napływać wnioski żydowskich działaczów z różnych stron świata, a w każdym tkwi swoisty szwindel, na poczciwość „gojów" dobrze obliczony. Jako wzór można przytoczyć wniosek redaktora dziennika hebrajskiego „*Dojar Hajon*", pana Ben Awi. Pan Ben Awi doradza „zwołanie przez rządy państw, mających nadmierny odsetek ludności żydowskiej, konferencji złożonej z reprezentantów ludności rdzennej, (konferencji) poświęconej sprawie rozwiązania kwestji żydowskiej".

Mamy tu jeszcze jeden przykład wieczności oszustwa żydowskiego. Wiadomo, że przesunięcie każdej sprawy na teren międzynarodowy jest jej pogrzebaniem. Po wojnie światowej żydzi wszystkie ważniejsze sprawy różnych, dających się okpiwać, narodów usiłują spychać na zjazdy, kongresy, konferencje i ligi międzynarodowe. Przyzwyczaja to narody do bezwolności własnej, bezradności i bierności, przysposabia je do projektowanej i propagowanej przez żydów Paneuropy, a doraźnie grzebie każdą sprawę we wspólnym dole absurdu i zaprzęga narody do długich a bezowocnych nad owym dołem wysiłków. Z punktu widzenia żydowskiego do takiego sposobu rozwiązania nadaje się szczególnie i przedewszystkiem sprawa żydowska, bo tam, na konferencjach międzynarodowych, sprawa ta jeszcze bardziej zwiąże się i na zabójczy dla narodów kłąb powikła. W najgorszym dla żydów przypadku konferencja spełźnie na niczem, a żydzi zyskają na czasie i na sposobności nowego oszukania narodów.

Przedwojenne pokolenie polskie, pomimo ciężkich dla Polski doświadczeń z żydami w wojnie światowej i po wojnie, wciąż i nałogowo ufnością i ustępliwością względem żydostwa się kieruje. Żydzi znają to pokolenie dobrze i wcale się go nie boją. Natomiast prawdziwym lękiem napełniają żydów pokolenia polskie (a także inne), które nadchodzą. Te wiedzą, że psychologja żydostwa nigdy się nie odmieni, a jego rdzenne oszustwo będzie coraz bogatsze w wynalazki i coraz ruchliwsze. Im bardziej żydów podważać będzie światowy kryzys gospodarczy, im ciaśniej będzie im i niepewniej w krajach rozproszenia, tem groźniejsze będą ich ratunkowe oszustwa, tem zjadliwsze i bezczelniejsze. Żyd nie posiada wprawdzie odwagi w ogólnoludzkiem rozumieniu tej cnoty, lecz jest swoiście odważny, mianowicie — odważny, jak mucha. Ten pacyfikator świata, zbrojny w swoje oszustwo, wciska się wszędzie — w oczy, uszy, usta, nosy i włosy, za rękawy i kołnierze narodów, byle tylko być stale w najbliższem pobliżu potu i krwi istot, na których pasorzytuje. Pozostawiony sam na sam z przyrodą żyd ginie, jak pluskwa domowa, więc nic dziwnego, że instynkt nakazuje mu raczej największe ryzyko na ciele narodów ludzkich, aniżeli samotność na łonie przyrody. Nie łudźmy się przeto, że żydostwo zgodziłoby się na samodzielny byt polityczny w jakiejkolwiek ziemi najbardziej obiecanej. Ono wie, że tam je czeka śmierć niechybna. Nie pogarnęli by się żydzi do Palestyny, gdyby ona była bezludna. A zresztą, cała ta sprawa *Erec Izrael* to także sprytny „kawał" Synhedrjonu, chociaż nie najlepszy z tych, któremi żydzi dotychczas świat okpiwali.

Ten zaś, najnowszy co do czasu, „kawał" o zwołaniu w sprawie żydowskiej konferencji międzynarodowej przez rządy państw, mających nadmierny odsetek żydow, to na obecną modę i modłę bardzo ładny worek, ale niewiadomo z której strony go ująć, bo zewsząd ostre szydła wyłażą. Konferencję mają zwołać „rządy państw". Warto, żeby publicystyka polska pomyślała nad tem, kto mianowicie na konferencji owej będzie np. w imieniu Polski przemawiał. Następnie: w konferencji mają uczestniczyć państwa, posiadające „nadmierny odsetek żydów". Jaki jest mierny, a gdzie zaczyna się nadmierny odsetek żydów? I kto ma odpowiedzieć na to pytanie przedwstępne? A dalej: w razie dojścia do skutku tej konferencji, jakie mogą na niej zapaść uchwały realne i każdy z obecnych rządów obowiązujące? I jeszcze dalej: w jakiem położeniu znajdzie się naród, którego rząd poweźmie zobowiązania w sprawie wewnętrznej, z dobrem tego narodu i społeczeństwa niezgodne? A w sprawie żydowskiej taki właśnie wynik konferencji jest bardzo możliwy. I dalej: czy w okresie bieżącym, z uwagi na istniejące traktaty oraz międzynarodowe warunki polityczne, rządy państw będą mogły (choćby chciały) stanąć w sprawie żydowskiej na gruncie dobra „narodów rdzennych"? I wreszcie: cały ten wniosek pana Ben Awi jest nie do przyjęcia nawet dla rządów masońskich, ponieważ konferencja taka odsłoniłaby najwstydliwszą ich legitymacji kartę. Oszustwo tego wniosku obliczone jest na mącenie opinji społecznej „narodów rdzennych". Żydzi już z wielu stron rozpoczęli swój taniec oszustów ratowniczych. Będziemy wkrótce mieli ciekawe i pełne ich widowisko. W tej chwili mamy przed oczami zaledwie pierwsze ich jaskółki. Ze strony polskiej trzeba przeciwstawić temu coś więcej, niż poczciwość i ufność.

Na podstawie znajomości historji żydostwa i jego najgłębszych, niezmiennych właściwości duchowych, należy obecnie ustalić następujące wytyczne polskiego w sprawie żydowskiej stanowiska: 1) sprawa żydowska nazywa się żydowską tylko ze względu na przedmiot swój, a to zupełnie tak samo, jak, naprzykład, sprawa zapluskwienia mieszkań ludzkich; 2) żydzi będą się ratowali swoją metodą odwieczną, i to jest ich rzecz, ale nie oni będą rozstrzygali sprawę żydowską; 3) w każdym narodzie poszczególnym sprawa żydowska jest sprawą narodu tego, przez żydów zagrożonego, sprawą jego zdrowia i bezpieczeństwa; 4) porozumienie między narodami w sprawie żydowskiej, byłoby bezprzedmiotowe, ponieważ jest to dla każdego narodu sprawa przedewszystkiem wewnętrzna, a to z rzędu takich, jak sprawa bezdomności, bezrobocia, bezszkola i tym podobnych bezradności społecznych; 5) sprawa żydowska w Polsce jest wojną pomiędzy narodem polskim a najeźdźcą żydowskim, wojną o kraj, o naród i o państwo polskie. Wrogiem narodu polskiego jest każdy Polak, stojący po stronie najeźdźcy; 6) tylko ten naród rozwiąże u siebie sprawę żydowską, który w całej pełni stanie się panem państwa swojego i gospodarzem kraju.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

KONIEC KAPITALIZMU

PRZED WOJNĄ stawianie pod znakiem zapytania przyszłości ustroju kapitalistycznego miało miejsce jedynie w obozie socjalistycznym. Po wojnie, a zwłaszcza dziś, konieczność podstawowych zmian w ustroju gospodarczym, aczkolwiek w zupełnie innym kierunku, niżby tego chcieli socjaliści, jest coraz lepiej rozumiana w obozie narodowym. Natomiast w sferach, zajmujących się ekonomją, a z obozem narodowem nie związanych, wytwarzają się nastroje, że dzisiejsze podstawy gospodarcze nie są oparte na mocnych podstawach, nastroje, które prof. Lewy w numerze 19 *„Deutsche Wirtschaftszeitung“* obdarza nazwą *„Panik der Wirtschaft“*.

Objawem tych nastrojów jest i książka Ferdynanda Friedego, nosząca sensacyjny tytuł *„Ende des Kapitalismus“* tytuł, który doniedawna miałby prawo obywatelstwa jedynie w obozie socjalistycznym. Autor jednak nie jest socjalistą. Trudno go również nazwać zwolennikiem nowoczesnej ideologji narodowej, choćby dlatego, że przy omawianiu swego tematu nie bierze dostatecznie pod uwagę roli międzynarodowego żydostwa. W każdym razie książka warta jest bliższego z nią zaznajomienia, aczkolwiek przyznać to trzeba, że dla nas Polaków, zapoznanych z dziełami Dmowskiego, szereg poglądów nie ma już cech bezwzględnej nowości, które mogły one mieć dla cudzoziemców.

Autor uznaje szereg dodatnich stron, jakie ma kapitalizm. Obok tego jednak widzi szereg ujemnych skutków, jakie wywołuje w życiu społecznem. Takim skutkiem jest przepojenie całego życia społecznego duchem pieniądza. Prowadzi to do pozbawienia całego życia społecznego cech indywidualnych, do wygnania z niego pierwiastków duszy i uczucia, do zracjonalizowania całego życia społecznego. Przykład daje Ameryka, gdzie już zupełnie przyjęte jest określenie, iż człowiek jest wart tyle a tyle dolarów. Całe życie gospodarcze staje się abstrakcją, której wyrazem jest pieniądz, akcja, obligacja. Człowiek traci całkowicie swój materjalny stosunek do towaru. Co bowiem łączy gospodynię z garnkiem kuchennym, który nabyła w wielkim domu towarowym, za taryfowo ustaloną cenę, z pośród tysiąca takich samych standardyzowanych garnków? A co łączy sprzedającą ten garnek, z towarem przez nią sprzedawanym? Jakże inaczej było wtedy, gdy gospodyni nabywała garnek u majstra, który go sam zrobił, lub u kupca, który ich miał kilkanaście różnego rodzaju, a kupowała go dlatego, że uważała jego cechy indywidualne za najprzydatniejsze dla siebie.

Również stosunek człowieka do człowieka pozbawiony zostaje cech indywidualnych. Najistotniejszą cechą człowieka staje się dochód, jaki otrzymuje. Człowiek staje się składnikiem sumy podobnych do siebie standardyzowanych ludzi. Człowiek przestaje mieć zawód, w którym pracuje z zamiłowania do swojej pracy, ale ma tylko stanowisko, które mu dostarcza pewnej ilości pieniędzy. W życiu towarzyskiem zapanowuje bezmyślna, standardyzowana moda. Nawet miłość zatraca pierwiastek uczuciowy, co doprowadza do osłabienia życia rodzinnego, czego źródłem jest również praca zarobkowa kobiet. Wreszcie w życiu publicznem wyrazem tych tendencyj jest demokracja współczesna, z jej pięcio-przymiotnikowem głosowaniem na listy wyborcze, z jej jednakowem traktowaniem nienawidzących się w istocie ludzi.

Z pojęciem pieniądza w ścisłym związku znajduje się pojęcie kapitału. Kapitał stał się samodzielnym czynnikiem w produkcji dopiero wtedy, gdy towar zaczął być produkowany nie przez samego człowieka, lecz przez maszynę. Z jednego ze środków produkcji kapitał staje się celem, bożkiem, czczonym lub nienawidzonym. Jednocześnie utraca on konkretne oblicze i przekształca się na martwą cyfrę, figurującą w księgach przedsiębiorstwa.

Również pod względem społecznym kapitalizm oddziałał ujemnie na współczesne społeczeństwo. Wyrazem tego jest przedewszystkiem wadliwy podział dochodu i majątku. Z jednej strony widzimy masy, posiadające bardzo skromne dochody, a prawie wcale majątku, z drugiej strony nieliczne jednostki, rozporządzające kolosalnym dochodem i majątkiem. Natomiast skurczeniu uległ niezależny stan średni, składający się ze średnich przemysłowców i kupców. Jego miejsce zajął stan średni zależny, a więc przedewszystkiem urzędnicy, czy to związków publiczno prawnych, czy to wielkich przedsiębiorstw, czy też związków zawodowych. Wynikiem zbiurokratyzowanie całego życia społecznego.

Kapitalizm, który w taki sposób oddziaływa na społeczeństwo, musiał się załamać. Przedewszystkiem zabrakło ludzi tego typu, do którego należeli twórcy początków kapitalizmu. Ich wnukowie, obecni właściciele magnackich fortun, naogół nie mogą im dorównać, nie mogą sprostać tym zadaniom, jakie na nich nakłada odziedziczony majątek. Przedsiębiorstwami ich kierują dyrektorowie, często uczeni, rozumni, energiczni, ale już nie przedsiębiorcy, ale urzędnicy. Przedsiębiorstwa więc ulegają zbiurokratyzowaniu. Zatraca się bezpośredni stosunek człowieka do rzeczy,—zastępuje go stosunek papierowy. Kierownik przedsiębiorstwa widzi je nie bezpośrednio, ale przez pryzmat księgowości, akt, papierów. Pierwsi przedsiębiorcy to byli ludzie pełni krwi i temperamentu, obecni epigoni są racjonalistami, chcącymi obliczyć to, co się obliczyć nie da. Jednocześnie rozwój gospodarczy doprowadza do tego, że dotychczas niczem nie skrępowana swoboda przedsiębiorcy zostaje ograniczona przez przepisy ustawy, przez wpływy banków, przez związki producentów, wreszcie przez związki zawodowe. Swoboda, ta przyrodzona atmosfera, w której mógł się rozwijać przedsiębiorca typu kapitalistycznego, należy do przeszłości.

Gospodarstwo kapitalistyczne od początku swego powstania przechodziło perjodycznie okresy kryzysu. Lecz te dawniejsze kryzysy były jedynie wynikiem szybkiego rozwoju i wzrostu, odbywającego się nie w sposób planowy, lecz samorzutny. Inny zupełnie charakter mają kryzysy po wojnie. Pierwszym z nich był kryzys, który miał miejsce w latach 1920—21. Bezpośrednie jego źródło upatruje Fried w tem samem, co Dmowski: w rozwoju gospodarczym krajów zamorskich i w utracie przez Europę dawniejszych rynków zbytu. Kryzys ten powstrzymany był, oczywiście tylko chwilowo, przez kolosalny dopływ kapitału amerykańskiego do Euro

py. Kredyty te posłużyły do rozszerzenia i zracjonalizowania przemysłu europejskiego, którego zdolność produkcyjna przekroczyła możność zbytu. Doprowadziło to jednak do okresu, pozornej i chwilowej coprawda konjuktury.

Konjuktura ta musiała się jednak skończyć, gdy ustał dopływ kredytów amerykańskich. Nastąpiło to na jesieni 1929 r., wtedy, gdy w Stanach Zjednoczonych miał miejsce wielki krach giełdowy, wywołany przez nadmierną spekulację. Od tej chwili zaczął się kryzys analogiczny do kryzysu z 1920—21, tylko występujący w formie o wiele ostrzejszej.

Jednocześnie bowiem nastąpiło drugie zjawisko: niesłychany spadek cen surowców. Próby, mające na celu sztuczne podtrzymanie ceny niektórych surowców rolniczych, skończyły się wielkiemi stratami dla instytucyj, które te próby usiłowały przeprowadzić. Jeśli chodzi o surowce przemysłowe, to ceny niektórych z pośród nich są utrzymywane jeszcze sztucznie na wyższym poziomie przez kartele kosztem gromadzenia zapasów i ograniczania produkcji. Dążenie do popierania eksportu za wszelką cenę prowadzi do powstania różnicy między eksportowemi cenami dumpingowemi, a wysokiemi cenami krajowemi, mającemi pokryć straty, wynikające z eksportu. Przykładem tego może służyć cena cukru, która na rynkach światowych spadła do $^1/_3$ ceny przedwojennej, na wewnętrznym zaś rynku niemieckim jest dwukrotnie wyższa niż przed wojną.

Ceny niektórych surowców przemysłowych i ceny gotowych wyrobów przemysłowych utrzymywane są więc sztucznie na wysokim poziomie.

Jako argument wysuwany jest wysoki poziom stałych wydatków produkcji, których poziom jest niezależny od rozmiarów wytwórczości, a przy zmniejszonej produkcji dotkliwie obciąża cenę. Koszty stałe, to przedewszystkiem oprocentowanie i amortyzacja kapitału zakładowego, którego znaczna część stoi bezczynna i już nigdy pracować nie będzie. W ten sposób ten kapitał zakładowy w znacznym stopniu jest wartością fikcyjną, czego wynikiem jest również spadek akcyj i krachy giełdowe; oprocentowanie i amortyzacja tej wartości fikcyjnej, a nie płaca robotników jest głównem źródłem utrzymywania cen artykułów przemysłowych na wysokim poziomie. Ponadto przyczynia się do tego drogi aparat wymiany.

Wynikiem tego jest dysproporcja między cenami artykułów skartelizowanych, a nieskartelizowanych, przemysłowych, a rolnych. Skutkiem zaś tej dysproporcji jest nędza chłopa, który, sprzedając tanio produkowane przez siebie ziemiopłody, niema za co kupować drogich wyrobów gotowych, i nędza robotnika, pozbawionego pracy, który nie ma za co kupować nawet tanich artykułów rolnych. A gdy w biurach karteli dokonywa się mozolnych obliczeń kosztów własnych, gdy na giełdach obserwujemy śmiertelny taniec akcyj, wśród głodnych robotników i włościan coraz silniej występuje wrzenie i ruch.

Dwie są drogi, po których może pójść gospodarstwo światowe, szukając dróg wyjścia z dzisiejszego bezdroża. Albo powrotu do pełnego kapitalizmu i liberalizmu. Wywołać to musi spadek wszystkich cen, jawne bankructwo większości przedsiębiorstw, odpisanie ich kapitałów. Obok tego pełna realizacja idei gospodarstwa światowego, wolny handel światowy. Wreszcie skasowanie ceł, zniszczenie karteli, związków zawodowych, umorzenie odszkodowań. Ta droga jest niemożliwa, gdyż niedopuszczą do wstąpienia na nią rozwijające się we wszystkich krajach ruchy nacjonalistyczne.

A w takim razie pozostaje droga druga. Jest nią zupełne porzucenie kapitalizmu i liberalizmu. Oznacza to zupełne załamanie się dzisiejszego ustroju gospodarczego. Doprowadzić musi do porzucenia idei gospodarstwa światowego i zamknięcia się przez wysokie cła w ramach pojedyńczych gospodarstw narodowych. Obok tego będzie szło powiększanie roli karteli i związków zawodowych i poddanie ich kontroli. Po tej drodze świat pójdzie, gdyż pchają go w tym kierunku narodowe popędy, rozwijające się w poszczególnych krajach.

Takie są najważniejsze myśli, zawarte w książce Friede'go. Obok poglądów słusznych, wiele z nich, jak np. pogląd na rolę karteli, wzbudzać musi duże wątpliwości z punktu widzenia ideologji narodowej. W każdym razie książka stanowi cenny materjał do myślenia, które doprowadzić musi do stworzenia swojego, polskiego poglądu na rozwijające się w świecie wypadki.

J. PRUS

CHEMIZM ŻYCIA

W WIĘKSZOŚCI społeczeństw, a szczególnie w naszem, wykształcenie humanistyczne górowało zawsze nad przyrodniczem tak dalece, że to ostatnie było niemal wyłącznie dziedziną specjalistów. Oświeconemu ogółowi zagadnienia przyrodnicze są prawie zupełnie obce, i dlatego przeważnie nie zdaje on sobie sprawy z głębokich przemian, jakie w krótkim czasie zaszły w poglądach przyrodniczo-filozoficznych. Często wprawdzie słyszy się powtarzany chętnie frazes, że materjalizm zbankrutował, że przebrzmiał w nauce; ale mało kto rozumie, na czem to bankructwo polega.

W państwie nauki istnieją dwa urzędy. Jeden z nich sprawuje zamknięty w swej pracowni badacz zjawisk przyrodniczych: astronom, fizyk, chemik, biolog. To wywiadowca, który stara się przyłapać przyrodę na gorącym uczynku, wyśledzić kryjówki, w których przechowuje swe tajemnice, wyrwać je z jej rąk i złożyć ludzkości na sędziowskim stole jak *corpus delicti*. Badacz ogranicza swą rolę wywiadowcy jedynie do stwierdzenia faktów i wyciągnięcia wniosków bezpośrednio z niemi związanych.

Drugi urząd powierzyła nauka myślicielowi. On jest prokuratorem, wytaczającym przyrodzie odwieczny proces o zdobycie Prawdy. W oskarżeniu, które wygłasza, rozpatruje materjał dowodowy złożony przez wywiadowcę, i z jego wniosków bezpośrednich wyprowadza sięgające dalej: z ogniw wiedzy ścisłej buduje łańcuch pojęć i poglądów ogólnych. Zwykle też on, a nie wywiadowca, bywa popularyzatorem wiedzy, bo dopiero mowa prokuratorska daje ową całość obrazu, jakiej pożąda zainteresowanie ogółu.

Wiedzę spopularyzowaną otrzymuje więc społeczeństwo przeważnie z drugiej ręki, i przeważnie w oświetleniu tendencyjnem. Bo prokurator rzadko

kiedy potrafi i chce być bezstronnym. W ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego i początkach naszego wieku popularyzację wiedzy przyrodniczej ujęły w swe ręce bardzo umiejętnie koła masońskie, czyniąc z tego narzędzie propagandy wolnomyślicielskiej. Popularyzowano ją więc nie objektywnie, ale z jednoczesnem suggerowaniem wniosków, sięgających poza granice nauki ścisłej do tendencyjnie zbudowanej tezy filozoficznej.

Trzy wielkie firmy wydawnicze paryskie: Calmann Levy, Reinwald i Charpentier, pozostające w rękach masonerji (nazwiska figurują w spisach „braci"), rzucały corocznie na rynek księgarski setki popularnych wydawnictw przyrodniczych, zręcznie zaszczepiających w umysłach doktrynę materjalistyczną i wolnomyślicielską. A czytający ogół pochłaniał ją bezwiednie i utożsamiał z naukowemi teorjami, a niekiedy nawet z prawami naukowemi. Polskie tłumaczenia lub naśladownictwa przynosiły naszemu społeczeństwu plon analogiczny.

Doktryna materjalistyczna, ujmująca życie nietylko biologiczne, ale nawet i duchowe, jako chemizm komórek, ugruntowała się w umysłach jako teorja naukowa. Przesłankami bowiem operewano tak zręcznie, że czytelnik nie spostrzegał, gdzie kończy się opis zjawiska, stwierdzonego naukowo, a gdzie zaczynają się luźne stąd wnioski, i sofizmatów wiążących ogniwa łańcucha nie zauważał. Przyczyną tego był brak podstaw przyrodniczych w wykształceniu szkolnem.

Jakże wpajano w umysły ową teorję chemizmu życia?

Oto wykładano przystępnie, i zresztą zgodnie ze zdobyczami nauki, jak to ona, wżerając się coraz głębiej w tajniki przyrody, sięgnęła aż do mgławicy, z której powstał nasz system planetarny. Koncepcję Laplace'a, operującego jeszcze starożytnem pojęciem eteru kosmicznego, wzmocniła nowoczesna teorja elektronów. Ich to skupienie tworzy mgławicę: powstaje z nich materja. Początkowo niezmiernie rozrzedzona, tworzy mieszaninę pierwiastków w jakimś stanie „hypergazowym", jeśli go tak nazwać można. Kondensacja stopniowo postępuje i tworzy wewnątrz mgławicy rozżarzone sferyczne jądro gazów, pozostających pod olbrzymiem ciśnieniem miljonów atmosfer, w temperaturze miljonów stopni. Mgławica kurczy się, a jądro jej wzrasta i staje się olbrzymim, kulistym, wirującym obłokiem wrzącej cieczy: naszem słońcem, od którego, skutkiem odśrodkowej siły obrotu, odrywają się pierścienie jego substancji. Ta sama siła rozrywa pierścienie, kształtując z nich planety. Zjawisko to można odtworzyć doświadczalnie w laboratorjum.

Tedy ziemia nasza, oderwana od słońca, jest kością z jego kości i krwią z jego krwi. Jej początek sięga do jego początków: do owego nieustającego życia elektronów w przestrzeni, które jest praenergją i źródłem wszelkich zjawisk. Rozmaite energje, które studjujemy i poznajemy oddzielnie jako zamknięte w sobie działy, a więc elektryczność, światło, ciepło, dźwięk, są tylko postaciami owej energji jedynej: ruchu elektronów. On też jest istotą energji chemicznej i wszelkich chemicznych zjawisk, istotą chemizmu, do którego w ostatecznym rozbiorze sprowadza się wszystko, co jest.

Ow chemizm wyraża się w różnych postaciach i tworzy dzieła różne. W historji naszego globu pierwszem jego dziełem było powstanie mgławicy z rozproszonych elektronów, drgających w przestrzeni falami energji. Skondensowanie się mgławicy i skurczenie się jej do konturów owej pierwotnej, olbrzymiej sfery słonecznej, było wynikiem skupienia się elektronów w atomy materji. W tej pierwszej fazie istnienia, jak zresztą i dotąd na słońcu, jest ona tylko mieszaniną pierwiastków. Taką też płynną, żarzącą się mieszaniną pierwiastków była kula ziemska odrywając się od macierzystej słonecznej mgławicy. Chemizm materji nie mógł tu jeszcze wyrażać się w reakcjach i tworzyć związków. Bowiem powyżej pewnych granic temperatury każdy związek rozpada się na pierwiastki, a więc i powstać nie może. Np. dyssocjacja cynobru na rtęć i siarkę następuje już około 500°, dyssocjacja wody (pary wodnej) na tlen i wodór — w temperaturze około 1100°. Najwyższa temperatura, jaką dotąd zdołano wytworzyć, wynosi około 6 do 7000°. Opiera się jej już tylko niewielka liczba związków, jak np. wapno, tlenki kilku innych metali, kwarc i niektóre krzemiany. Ale niewątpliwie żaden związek nie ostałby się temperaturze 10-ciu czy 12-tu tysięcy stopni. Cóż więc mówić o owym żarze miljonów stopni, panującym w sferze naszego globu w jego wieku niemowlęcym, gdy był jeszcze spowity w płomienne pieluchy.

Zatem o reakcjach chemicznych między pierwiastkami i o powstawaniu związków nie mogło jeszcze być mowy. Chemizm wyrażał się natomiast prawdopodobnie w bardzo energicznych emanacjach, które obecnie występują na powierzchni naszej planety już zaledwie dostrzegalnie (por. „Myśl Narod." Nr. 24 „Elektrony jako absolut").

W miarę ostygania płomiennej kuli ziemskiej i krzepnięcia zmieszanych w niej pierwiastków w płyn coraz gęstszy i dalej w skorupę, słabła emanacyjna postać energji, przeistaczając się w postać reakcyjną, i zaczęły powstawać związki. Do najpierwszych, jakie się utworzyły, należą: kwarc, wapno, tlenek baru, strontu, glinu i różne krzemiany. One zapoczątkowały skorupę ziemską, która zabezpieczyła pierwiastki w płynnem wnętrzu ziemi od utworzenia związków z temi, które w stanie lotnym stanowiły ówczesną atmosferę. Dzięki temu znajdujemy w późniejszych, niższych warstwach skorupy, żelazo, miedź i szereg innych substancyj w postaci pierwiastków niepołączonych.

Gdzieś w głębiach ziemi jej chemizm wyraża się prawdopodobnie jeszcze dotąd tylko w emanacjach (i prawdopodobnie w energicznych). Ale z chwilą utworzenia się skorupy, wyrazem jego na jej powierzchni stały się już reakcje: najpierw proste, potem bardziej złożone, później wymienne. Według ich charakteru możnaby życie chemiczne ziemskiej skorupy podzielić na wyraźne okresy, rozgraniczone momentami przełomowemi. Były niemi reakcje niesłychanie gwałtowne między temi pierwiastkami, które, zmieszane w stanie lotnym, tworzyły ziemską atmosferę, przesyconą fosforem, siarką, chlorem, bromem, jodem, fluorem, parami niektórych metali, wodorem, nie mówiąc już o tlenie i azocie, stanowiących jej podstawę — nasze obecne powietrze.

W miarę obniżania się temperatury do granic odpowiadających poszczególnym reakcjom, następowały one między pierwiastkami zmieszanemi w owej atmosferze z gwałtownością straszliwych wybuchów. Jednym z takich momentów przełomowych, a bardzo doniosłym, który nastąpił przy spadku temperatury do granic około 1000 — 1100°, było połączenie się wodoru z tlenem. Reakcji tej towarzyszyła potężna eksplozja, która wstrząsnąć musiała nietylko całą masą atmosfery, ale i samym globem

ziemskim. Zyskał on za to nową zdobycz, bo związkiem wytworzonym przez tę reakcję była woda (para wodna), która do owego momentu w świecie naszym jeszcze nie istniała. Pojawienie się jej było hasłem powstania całego szeregu nowych reakcyj i mnóstwa nowych związków, które wzbogaciły ziemską skorupę. Jeszcze kilkusetwiekowa chwila: temperatura opada do stu stopni, para wodna skrapla się i przy dalszem stygnięciu opada strumieniami gorącej wody, która wsiąka w skorupę ziemską, żłobi w niej oceany i rzeki, powoduje nowe reakcje i powstanie nowych związków: ostatnich w mineralnym szeregu.

Glob ziemski był więc jakby jakąś pracownią chemiczną, w której z niepołączonej mieszaniny wszelkich pierwiastków powstawały związki. Najpierw najprostsze, możnaby rzec: grube, twarde, oporne, jakby ciężkie fundamenty pod dalszą strukturę. Później stopniowo powstają związki coraz bardziej złożone, coraz subtelniejsze, coraz wrażliwsze. Nauka, by ułatwić poznanie, klasyfikuje to na grupy, mówi o metalach i metaloidach, o zasadach i bezwodnikach, o kwasach i solach, o chemji mineralnej i organicznej. Ale przyroda takich klasyfikacyj nie zna. Ona zna tylko nieprzerwaną ciągłość chemizmu, który nigdy nie zamiera, i trwając nieprzerwanie zmienia tylko swój wyraz. W mgławicy wyrażał się falami energji, skupiającej się w materję, potem jej emanacjami, trwającemi dalej na ziemi, wreszcie reakcjami i powstawaniem związków. Nic się tu jednak nie tworzy. Przetwarza się tylko. Elektrony z postaci rozproszonej, która jest energją, przetwarzają się w postać skupioną, będącą atomami pierwiastków; pierwiastki przetwarzają się w związki; te znów reagując wzajemnie przetwarzają się jedne w drugie. Błędem byłoby sądzić, że te, które powstały na ziemi z pojawieniem się wody, były już końcowem dziełem przemian. Zapanował wprawdzie zewnętrzny spokój, ale chemizm nie zamarł. Z istniejących związków wyłonił się znów nowy, ale tym razem powstał spokojnie, powolnie, w temperaturze ostudzonej już do granic między 30 a 50°. Było nim białko.

*

Związek ten zasługuje na szczególną uwagę. Podobnie jak wszystkie inne, odpowiada on określonemu wzorowi (formule). Posiada, jak inne, swoje reakcje charakterystyczne, i jak inne, zdolny jest tworzyść dalsze związki wymienne. Słowem, jest to substancja chemiczna w pełnem znaczeniu. Ale poza cechami, które stawiają białko w szeregu substancyj chemicznych, posiada ono własności o charakterze specjalnym, których u innych związków nie odnajdujemy. Własności te polegają na powolnem, ale nieustannem reagowaniu z substancjami otaczającego środowiska w ten sposób, że substancje te ulegają rozkładowi, a z tego rozkłada białko przyswaja sobie potrzebne składniki i odtwarza z nich swą własną substancję, której tym sposobem wciąż przybywa, dopóki w środowisku starcza składników. Tę własność asymilacji i reprodukcji nazywamy życiem. Z powstaniem białka pojawiło się na ziemi życie biologiczne.

Wśród zjawisk przyrody, życie wydawało nam się tak zagadkowem i tajemniczem w swej istocie, żeśmy mu w naszych pojęciach wyznaczyli miejsce specjalne, uprzywilejowane i odgraniczone od wszelkich innych zjawisk. I miejsce to zachowało ono nietylko przez wieki filozofji i wierzeń, ale jeszcze długo w wiekach nauki, dopóki jej rozwój nie skruszył piedestału tajemniczości. Wprawdzie i dotąd jeszcze nie zdołano zbadać samego przebiegu asymilacji i reprodukcji. Ale własności te, podobnie, jak wszystkie własności, któremi jedna substancja odróżnia się od drugiej, są tylko wynikiem jej składu chemicznego, jej budowy drobinowej. Barwa, smak, woń, budowa krystaliczna, komórkowa lub włóknista, rozpuszczalność w jednych i nierozpuszczalność w innych cieczach, postać stała, ciekła lub lotna, reakcje, jakim dana substancja podlega, słowem wszystkie własności, które czynią z niej określoną jednostkę i pozwalają ją odróżnić wśród innych, są tylko wynikiem jakości, ilości i układu atomów w drobinie.

Tu więc jedynie tkwić może źródło specjalnych własności białka. Nauka zbliża się coraz bardziej do jego poznania i, co za tem idzie, do syntetycznego wytworzenia białka drogą laboratoryjną. Zjawisko życia nie oszałamia nauki. Jest ono tak dobre, jak każde inne zjawisko chemiczne. Tak dobrą jest struktura komórkowa białka, jak krystaliczna soli, tak dobrą własność asymilicji i reprodukcji, jak własność eksplodowania nitrogliceryny, lub własność chromatyzacji acetocelulozy w roztworach.

Do rozproszenia tajemniczości zjawisk biologicznych przyczynił się przedewszystkiem mikroskop — nieubłagany tępiciel zabobonów i ciemnoty. Obserwując przez jego soczewki jakąkolwiek substancję białkową, np. białko kurze, protoplazmę tworzącą amebę, drożdże, widzimy, że owa bezkształtna masa jest zbiorowiskiem oddzielnych i od siebie oddzielonych komórek. Wymieszawszy odrobinę drożdy w jakimś soku owocowym i umieściwszy kroplę takiej cieczy pod mikroskopem, możemy asystować procesowi życia. Widzimy wtedy, jak każda z rozproszonych w owej kropli komórek drożdżowych rośnie w naszych oczach, pęcznieje i osiągnąwszy pewien wzrost, rozdwaja się. Z dwóch powstałych tą drogą komórek, każda znów rośnie i znów się rozdwaja. Z jednej powstają dwie, cztery, ośm, szesnaście, miljony, miljardy, a wzrastanie i rozdwajanie się postępuje z mechaniczną precyzją i trwa, zależnie od temperatury, określoną ilość minut. Ustaje ono, gdy potrzebna do rozrostu i reprodukcji pożywka została w środowisku wyczerpana. Po jej dodaniu, zjawisko rozpoczyna się nanowo i trwa dalej.

W istocie swej jest ono reakcją lub grupą reakcyj chemicznych, rządzonych tą samą energją i temi samemi prawami, jakich wynikiem są i wszelkie inne reakcje. Obecność kwasu siarkowego w alkoholu powoduje najpierw jego rozkład, a jednocześnie z tem, połączenie składników powstałych z rozkładu w związek będący eterem. Podobnie rzecz się ma z białkiem. Jego obecność w soku powoduje rozkład cukru i połączenie składników stąd powstałych oraz innych, znajdujących w soku, w białko, którego tym sposobem wciąż przybywa. Tu niema cudów. Są tylko reakcje. I to, co nazywamy życiem, jest tylko dalszym ciągiem nieustającego przetwarzania się materji od elektronów w mgławicy do komórek protoplazmy na ziemi. Jej pojawienie się było wynikiem reakcji nieuniknionych. Obecność bowiem danych substancyj w danych warunkach wytwarza konieczność ich reagowania i wytworzenia danego związku. Powstanie białkowej komórki było więc chemiczną koniecznością i koniecznością był też dalszy jej rozwój.

(Dok. nast.)

JAN WORTMAN

NA WIDOWNI

Pozory a rzeczywistość.—„Święto Morza".—Świadomość dziejowa stolicy.— Zgodność narodu i rządu. — Kwestja żydowska na Pomorzu.

CUDZOZIEMIEC, który w dniu „Święta Morza" po raz pierwszy znalazłby się na ulicach stolicy Polski, nie byłby prawdopobnie szczególnie zbudowany odniesionem wrażeniem. Uderzyłaby go owa świąteczność odmierzona, oficjalna, na każdym domu po dwie jednakowych rozmiarów flagi, w jednakowy sposób wywieszone przez stróżów po obu stronach bramy, a składające się na obraz jakiejś urzędowej sztywności, suchej i pedantycznej, niczem tekst administracyjnego przepisu. Naraz, wśród tej jednostajności nużącej, zauważyłby dom któryś, przystrojony z większą, niż inne, pomysłowością festonami, lampkami elektrycznemi, portretami. „Tu nareszcie mam do czynienia z objawem bardziej żywiołowego entuzjazmu ludności" — szepnąłby do siebie, ale chwila obserwacji przekonałaby go rychło, że stanął właśnie... przed lokalem komisarjatu policji...

I cudzoziemiec ów, widząc taki brak świątecznego nastroju w odświętnie udekorowanem mieście, mógłby stąd lekkomyślnie wyciągnąć wniosek, że sprawa polskiego wybrzeża morskiego interesuje w Warszawie jedynie sfery oficjalne, że dla ogółu mieszkańców stolicy zagadnienie to jest obojętne, niezrozumiałe, dalekie. Wniosek jakże do gruntu fałszywy, niezgodny z rzeczywistym stanem rzeczy, powierzchowny!...

Warszawa — cała po polsku myśląca i czująca część jej ludności — ze szczerą radością i ze szczerem uznaniem przyjęła ów manifestacyjny akces kół urzędowych do ogólnonarodowego stanowiska w kwestji morskiej i uroczystości gdyńskie w dniu 31 z. m., z udziałem Pana Prezydenta Rzplitej, przejęły ją żywem, niekłamanem zadowoleniem. Ale oświadczenia oficjalne, że „Polska musi posiadać dostęp do morza", że „Polska kocha morze", że „Polska bronić będzie swego wybrzeża morskiego przeciw wszelkim napaściom", wypowiadane—jakby nowość jaka — w Roku Pańskim 1932, w żaden sposób nie mogły dla społeczeństwa polskiego mieć waloru uczuciowego rewelacji. Narodowa Warszawa nie potrzebowała pouczeń propagandowych, czem morze dla Polski, dawno wiedziała o tem i ta świadomość właśnie rozstrzygała nieraz już o jej postawie w momentach decyzyj historycznych w przeciągu paru ostatnich dziesięcioleci...

Wiedziała już o tem w chwili wybuchu wojny światowej, w sierpniu r. 1914, kiedy na pierwszą odezwę Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, oświadczającą, iż „w ścisłej łączności z armją austrjacko-węgierską pójdą Legjony polskie w bój, aby na szalę tej największej wojny rzucić także godny narodu polskiego czyn, jako warunek i zadatek lepszej przyszłości", przedstawiciele organizacyj politycznych Warszawy odpowiedzieli rezolucją, deklarującą się przeciw polityce współdziałania wojskowego z mocarstwami centralnemi, a rozpoczynającą się od słów:

„Zważywszy, że

1°) zwycięstwo koalicji rosyjsko-francusko-angielskiej daje Narodowi Polskiemu widoki zjednoczenia wszystkich ziem polskich z dostępem do Bałtyku, podczas gdy zwycięstwo przymierza niemiecko-austrjackiego musi doprowadzić do nowego rozbioru Polski, podyktowanego przedewszystkiem przez Prusy i t. d." [1]).

Wiedziała o tem również i pamiętała w grudniu r. 1918, kiedy odruch tłumu warszawskiego przepędzał ze stolicy Polski przedstawiciela dyplomatycznego „zdemokratyzowanych" Niemiec, hr. Hugona Kesslera, jedynego reprezentanta mocarstwa zagranicznego, akredytowanego podówczas przy Tymczasowym Naczelniku Państwa, Józefie Piłsudskim oraz przy mianowanym przez niego rządzie radykalno-lewicowym p. Jędrzeja Moraczewskiego. Warszawa, wyczerpana paroletnią wojną i okupacją, zmęczona i zabiedzona, nie zawahała się ani przez jedną chwilę, jasno polskim instynktem odczuwając, iż przedwczesne i niedopuszczalne musiały być wszelkie próby nawiązywania pokojowych stosunków z Niemcami, dopóki polskie wybrzeże Bałtyku i ziemia pomorska pozostawały jeszcze w dalszym ciągu pod panowaniem niemieckiem.

Wiedziała o tem wreszcie i pamiętała, kiedy na pierwszą wieść o zawarciu przez rząd polski umowy z Niemcami z dn. 31 października 1929 r., wyrzekającej się udzielonych nam przez Traktat Wersalski praw likwidowania mienia niemieckiego i usuwania Niemców-kolonistów na Pomorzu, odpowiedziała natychmiast żywiołowym protestem — protestem, który ogarnął kraj cały, jednomyślnie przeciwstawiający się polityce jednostronnych ustępstw w stosunku do odwiecznego wroga i utrwalaniu — za zgodą polskich czynników oficjalnych — dzieła dawnej pruskiej Komisji Kolonizacyjnej na polskiej ziemi.

I cudzoziemiec, chcący mieć najpewniejszą odpowiedź na pytanie, w jaki sposób zareagowałby naród polski na wszelki zamach na całość naszego państwowego terytorjum, niech poprostu wyciąga wnioski z faktów: jeśli już takie ustępstwo z praw polskich na Pomorzu, jakiem była umowa likwidacyjna z r. 1929, spotkało się — jak Polska długa i szeroka — z tak powszechną, taką gwałtowną reakcją opinji publicznej, to czyż można wątpić choć przez chwilę, że jakakolwiek próba najazdu obcego na ziemię pomorską zastałaby naród polski jednolity, gotów walczyć na śmierć i życie, żadnych nie znający kompromisów?

Fakt, że niedawne „Święto Morza" miało charakter raczej oficjalnej imprezy, aniżeli żywiołowej manifestacji społeczeństwa, w żadnym razie nie może być tłumaczony w ten sposób, że opinja publiczna u nas nie nadąża jakoby w tym wypadku za posunięciami sfer rządowych, albo że nie jest całkowicie jednomyślna z ich deklaracjami. Wręcz przeciwnie, drogę, po której teraz śpieszą się czynniki oficjalne, społeczeństwo narodowe w świadomości swej przebyło w całości już oddawna, i dziś tylko z życzliwością słuchać może, jeżeli owe stare prawdy, od lat całych uznawane przez nie za aksjomaty, rozgłaszane są, jak nowe objawienie, przy pomocy oficjalnych megafonów.

Ponadto zaś zwrócenie szczególniejszej uwagi na życie i potrzeby dzielnicy pomorskiej, posiada w momencie obecnym jeszcze dodatkową wartość z tego względu, że pozwala poddać pod rozpatrzenie opinji polskiej pewne fakty nowe, dla przyszłości Pomorza niezmiernie ważne, a wobec których

[1]) Rezolucja stronnictw: Demokratyczno-Narodowego i Polityki Realnej z dn. 24-VII.1914 r.

jasne, zdecydowane stanowisko rządu i społeczeństwa polskiego wydaje się najpilniejszym nakazem chwili. Chodzi tutaj mianowicie o wzmożony w ostatnim okresie, a przez prasę syjonistyczną („Nasz Przegląd") publicznie proklamowany pęd do osiedlania się na Pomorzu żydów.

Wiadomo, jaka mocna jest niechęć ludności pomorskiej do żydostwa i jest sprawą pierwszorzędnego znaczenia, ażeby ludność owa widziała w Polsce obrońcę przeciwko najazdowi żydowskiemu na jej dzielnicę, nigdy zaś najazdu tego ułatwienie. W szczególności ważne to jest w czasie obecnym, gdy na zachód i na wschód od Pomorza święci trjumfy antysemityzm Hitlera, w żadnym wypadku bowiem nie możnaby dopuścić do tego, ażeby pod jakimkolwiek względem stosunki w Niemczech zaczynały wywierać na ludność pomorską wpływ atrakcyjny, aby głęboko zakorzenione poglądy tej ludności, czy chociażby jej gusty i antypatje, nie zostały przez Państwo Polskie uszanowane i w całej rozciągłości uznane. O tem trzeba pamiętać bardzo pilnie, przechodząc od świątecznych nastrojów obchodowych do rzeczywistości pomorskiego dnia codziennego.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

OD KILKU TYGODNI POLITYKA JAWNIE ZNAJDUJE SIĘ pod znakiem „sezonu ogórkowego". Czy tylko od kilku tygodni...? W gruncie rzeczy, jeśli wziąć pod uwagę możliwości w polityce międzynarodowej i krajowej, swoisty sezon ogórkowy w polityce naszej trwa dłużej i bez względu na porę roku, trwa przynajmniej od lat sześciu. Jeśli chodzi o urzeczywistnienie poważne zadań polityki polskiej, to niewielką stanowi różnicę, czy p. Sławek bawi we fjordach Norwegji, czy w Pałacu Prezydjum Rady Ministrów; czy telegramy donoszą o pobycie p. Switalskiego w Biarritz czy występach pod stropem gmachu sejmowego. „Ludzie pomajowi" po przewrocie znaleźli w pracy państwowo-twórczej wakacje od... zajęć cywilnych. Urzędowo rozpowszechnia się pogląd, że państwo runęłoby w nicość, gdyby te ferje się skończyły. My pozwolimy sobie mieć większą wiarę w państwo. Ta era szczególnie częstych zmian w rządzie, zwana dobą pomajową, z ministrów po największej części uczyniła krótkoterminowych aplikantów. Nawet gdyby obóz „sanacji" przyszedł do władzy z programem, ministrowie etc. nie zdążyliby go się nauczyć wykonywać. Lecz o programie nikt nie słyszał. To prawda, że pomajowi ludzie zaskoczyli społeczeństwo hasłem „państwowem". Aczkolwiek czcze, nie było spodziewane z tej strony. Ale paradoks po sześciu latach przestał bawić. Stał się takim samym banałem, jakim byłby odrazu na sztandarze jakiejkolwiek grupy, bardziej oswojonej z państwem. Mądrością polityczną stały się — przypadki, konieczności doraźne. Te zastąpiły myśl przewidującą. Zmusiły do liczenia się z rzeczywistością, często wbrew gustom, od wypadku do wypadku. Nikt w obozie „sanacji" nie obliczał wielkich zmian dziejowych, nie był przygotowany umysłowo do warunków, w jakich znalazło się powojenne państwo polskie. Przystosowanie się kierowników *régime*'u do tych warunków było rzeczą nieuniknioną; tem, z punktu widzenia potrzeb państwa, tłumaczy się mierna poprawność *régime*'u. Umiał uginać się przed koniecznościami, np. w polityce międzynarodowej. Stąd podtrzymanie sojuszu polsko-francuskiego, stąd obecnie podpisanie paktu polsko-rosyjskiego. Nikt zapewne, nawet z chwalców *régime*'u, nie powie, że np. sojusz polsko-francuski był w pełni wyzyskany. Trzeba było czemś przypłacić nieprzygotowanie polityczne, gdy mentorem była nie myśl przewidująca, a warunki. Zbyt często doganiano tylko wypadki. Stąd pod *régime*'m obecnym, nawet naturalne w rozwoju stosunków międzynarodowych zdarzenia, skądinąd obliczalne, przychodzą z trochę dziwnym efektem niespodzianek.

GDY CHODZI O ZDARZENIE TAK WAŻNE, jak świeżo podpisany polsko-rosyjski pakt o wzajemnej nieagresji, względy partyjne wypada jednakowoż usunąć z rozważań. Jest rzeczą nad wyraz pomyślną, że coraz większa liczba spraw zasadniczej wagi państwowej przestaje stanowić przedmiot dyskusji partyjnej. Szereg poglądów i wniosków, dawniej wypowiadanych tylko przez umysły szczególnie przewidujące, dziś staje się własnością powszechną. W narodzie rozbitym jak nasz, zahamowanym sztucznie w rozwoju politycznym, jest to najważniejszą oznaką mimowiednego krzepnięcia opinji, upodobniającego nas choć w tym jednym a istotnym rysie do normalnych państw Europy Zachodniej. Przykład tego organizowania się jedności narodowej, niezależnie od wszelkich wysiłków, zmierzających do rozbicia narodu, mamy we współczesnem wyjaśnieniu się naszego stosunku do Rosji. Jak niedawno jeszcze stosunek ten był najbardziej może sporną w opinji polskiej sprawą! Dziś polsko rosyjski pakt o nieagresji przyjęty został przez całą opinję polską, jako wyraz politycznego zdrowego rozsądku. Opinja wyprzedziła w ten sposób literaturę polityczną, która nie w całości zdała egzamin orjentacji w nowem położeniu. W prasie i książkach nie brak jeszcze głupstw, wypowiadanych na temat naszego stosunku do Rosji. Są to ostatnie próbki ideologji antyrosyjskiej z przed lat 20 — 30. Podstawą jej — przypomnijmy to sobie — była wiara, że konflikt z Rosją będzie zagadnieniem naczelnem, kształtującem losy przyszłej Polski. Wszystko inne będzie musiało podporządkować się tej konieczności. Suggestja ta i nadal pokutuje w artykułach mniej oświeconych publicystów, w praktyce jednak, jak widać, na rozwój zdarzeń zupełnie już nie ma wpływu.

W PODPISANYM PAKCIE O NIEAGRESJI widzieć przedewszystkiem należy świadectwo zmian dziejowych, zachodzących w Europie. Treść układu, stanowiącego, jak objaśniono urzędownie, rozwinięcie w jednym szczególe paktu Kellogga — jest banalna, i w normalne stosunki pokojowe państw, oparte na „prawie międzynarodowym", nie wniosłaby wiele nowego. Poparta powagą zmian, dokonywających się w układzie potęg, staje się tekstem o znaczeniu historycznem. Myśl Romana Dmowskiego, będąca, jeśli chodzi o wyjaśnienie dzisiejszego stosunku naszego do Rosji — własnością całego narodu, pierwsza uporała się z istotą tych zmian i umożliwiła opinji polskiej ich zrozumienie w da-

lekiej perspektywie dziejowej i przestrzennej. Inaczejby natury tych zmian wogóle nie można wytłumaczyć. Zaprojektowany do ratyfikacji pakt nie ma w sobie nic z „intrygi dyplomatycznej", ani nie jest sprytnem jedynie posunięciem. Odbija się w nim zadziwiający, wszechświatowego znaczenia, przewrót w stosunkach między Europą i Azją, który sprawił, że sam byt ogromu rosyjskiego zagrożony został nagle na wschodzie. Dla nas, w naszem położeniu, wynika stąd ta zmiana, że — w sensie politycznym możemy przestać być państwem w owem „najgorszem na świecie" położeniu, „między Niemcami i Rosją". Jeśli polityka nasza nie popełni karygodnych błędów w przyszłości, coraz lepiej będzie mógł utrwalać się pokój na wschodzie, ze wszystkiemi tego konsekwencjami dla stosunku sił na zachodzie.

WIDZA, OBSERWUJĄCEGO WYPADKI PRUSKIE uderza łatwość, z jaką von Papen zlikwidował koalicję wejmarską, słabość socjaldemokracji, miękkość *Reichsbanner*'u. Uderza również spokojne przyjęcie zamachu przez wielką prasę informacyjną świata, będącą — jak wiadomo — pod wpływami żydowskiemi. Nieco światła na tę sprawę rzuca, jak zawsze świetnie poinformowany, „Nasz Przegląd", tłumacząc, że akcja rządu Rzeszy jest w gruncie rzeczy skierowana nietylko przeciw lewicy, lecz i przeciw hitleryzmowi, z którego radykalnym programem społecznym nie godzą się wielcy agrarjusze i junkrzy. Istotnie, podczas gdy Hitler dąży do „trzeciej Rzeszy", oczyszczonej z żydów, ale ludowej, robotniczej, obojętne nawet, czy cesarskiej, czy republikańskiej, obecny rząd niemiecki pragnie raczej powrotu do Niemiec przedwojennych, do cechowanej marką feodalizmu monarchji Hohenzollernów.

Dla socjaldemokracji trjumf von Papena, nie będąc zagładą, jest niewątpliwie klęską, zepchnięciem do roli szykanowanej opozycji. Czy jest natomiast klęską żydostwa, którego narzędziem była w dużym stopniu socjaldemokracja? Kto zna stosunki Niemiec przedwojennych, ten musi odpowiedzieć przecząco. Monarchja pruska ma w swej tradycji przymierze z żydami. Przymierze to dotrwało do wojny europejskiej, w której trakcie żydzi popierali Wilhelma II choćby z nienawiści do carskiej Rosji. Dopiero usunięcie imperjum Romanowych a jeszcze bardziej przekonanie, że Niemcy, mimo wszystko, wojnę przegrać m u s z ą, skłoniło ich do przerzucenia się zawczasu na stronę koalicji i do skorzystania z możliwości rewolucji socjalistycznej, która przymierze zastąpiła bezpośrednią władzą nad Rzeszą.

Odradzanie się i odprężanie psychiczne Niemiec sprawiło żydom szereg dramatycznych niespodzianek, z których, nie licząc straty Róży Luxemburg, pierwszą, bardzo dotkliwą, było zamordowanie Rathenaua a ostatnią, niezwykle groźną, żywiołowy rozwój hitleryzmu, który żydom grozi poprostu zagładą. Ale hitleryzm jako ruch masowy i żywiołowy, wyrosły nagle, kierowany przez ludzi nowych, jest równie groźny przy zagarnięciu władzy siłą, jak bezradny w razie przeciągania się stanu spokoju. Jeśli Niemcy wyjdą z okresu ciągłych wyborów, jeżeli ustabilizuje się rząd nacjonalistyczny, zaspokajający uczucia szowinistyczne niemieckie — hitleryzm może stracić rozpęd, a co za tem idzie zwartość swych szeregów. Bodaj że takie przewidywania są przyczyną wstrzemięźliwości żydów wobec rządu Papena. Skądinąd zdecydował zapewne wszelkie wahania żydów fakt, że *Reichswehr*'a, niezbyt pewna w razie dalszych rządów koalicji weimarskiej, w rękach gen. Schleichera będzie, zdaje się, karnym instrumentem przeciw każdemu, a więc i Hitlerowi. Postawiony w trudnej i niebezpiecznej sytuacji będzie może musiał Narodowy Socjalizm zawrzeć kompromis, polegający na zawieszeniu planów antysemickich za cenę udziału w rządach.

Nie trzeba dodawać, że kozłem ofiarnym takiej kombinacji byłaby Polska. Z dwóch nie dających się pogodzić haseł hitleryzmu: walki z żydami nawewnątrz i z Polską nazewnątrz zwyciężyłoby pod patronatem Schleichera, Hohenzollernów i lóż staropruskich, drugie kosztem pierwszego. Czy gra ta się uda — trudno w tej chwili przesądzić.

DYSKUSJA NA TEMATY MASOŃSKIE, którą rozpoczęła „Gazeta Warszawska", jest wielce nie na rękę zarówno „Gazecie Polskiej" jak i „Naszemu Przeglądowi". Oba bratnie pisma wytykają prasie narodowej, że zajmuje się lożami sanacyjnemi, pomija zaś milczeniem ten odłam masonerji, który kieruje centrolewem.

Zarzut to niesłuszny. Dla odparcia go wystarczy nam wskazać choćby na niedawny artykuł naszego pisma, gdzie, analizując proces brzeski, wskazywaliśmy na dziwne zeznania b. Wielkiego Mistrza, A. Struga i na ciekawe zachowanie się prokuratora. Obecnie wolno nam powtórzyć zapytanie, skierowane do władz sanacyjnych: czemu to, tropiąc „spiski" centrolewu, nie zainteresowały się tkwiącą poza niemi agenturą międzynarodowego masoństwa? Czemu to tak czułe np. na „nielegalność" Naczelnego Komitetu Akademickiego władze nie zainteresują się prawną podstawą istnienia „strugowej" konspiracji? To chyba większe przeoczenie, niż prasy narodowej, która w myśl zasady: według stawu grobla, mniej się interesuje tym odłamem masonerji, który w Polsce ani władzy, ani większych wpływów nie posiada.

W TYGODNIU UBIEGŁYM UWAGĘ POWSZECHNĄ zwróciły na siebie starcia z wojskiem w Waszyngtonie. Jak wiadomo, wielotysięczna rzesza weteranów ściągnęła do stolicy w celu wywarcia presji na ciała ustawodawcze i wyjednania specjalnego zasiłku (*bonus*). Jak wiadomo, manifestacja zastraszyła izbę reprezentantów, która żądany dodatek istotnie uchwaliła, lecz projekt upadł, nie znalazłszy aprobaty senatu. Obozującą w dalszym ciągu w stolicy liczną rzeszę b. wojskowych przezwano żartobliwe „armją dodatku drożyźnianego" (*bonus army*). Z telegramów dowiedzieliśmy się o rozproszeniu tej armji ostatecznie przy pomocy wojska regularnego, i o wynikłym stąd w opinji amerykańskiej skandalu. W relacji PAT-a atoli rzecz przybrała tak osobliwą postać, że wieści „z placu boju" rzuciły przedewszystkiem światło na... polską służbę informacyjną. Dodatek drożyźniany w komunikatach PAT-a przekształcił się w Bonusa przez duże B. „W międzyczasie" — dzwonił PAT 28.VII, opisując przebieg zajść przy Białym Domu — „toczyły się zaciekłe walki między policją a b. żołnierzami armji Bonusa, w czasie których

kilku b. żołnierzy odniosło rany, a 1 został zabity...". Weterani ulegli w tem starciu. „Walka b. żołnierzy armji Bonusa"—dzwonił korespondent PAT-a nazajutrz — „została zakończona i większość demonstrantów opuściła stolicę...". Z wyjątkiem tych, co przebieg zdarzeń śledzili w prasie zagranicznej, nikt z czytelników polskich nie mógł podejrzewać, iż Bonus nie jest dowódcą armji, z gramatyki depesz PAT-a wynikało to wyraźnie. Tak informowały opinję relacje specjalnych wysłanników, obserwujących zdarzenia na miejscu. Dotyczyły zajść w Waszyngtonie. Czy nic nie powiedziały o naszej służbie zagranicznej, o MSZ, o delegaturze przy Lidze Narodów, o „propagandzie", o „mocarstwowości" *régime*'u?

MOJA KASSANDRA

ODPOWIEDŹ p. K. L. Konińskiego, w nr. 33 „Myśli Narodowej" umieszczona, wskazuje na kamyk omyłki drukarskiej, któremu niemal całkowicie przypisać należy osunięcie się lawiny mojego gniewu polemicznego, p. t. „Miara miar", drukowanej w nr. 32 naszego tygodnika. Jeżeli rozmówca mój w czemkolwiek w oczach czytelników od tej lawiny postradał, to szlachetnym tonem odpowiedzi z dużą nawiązką stratę swoją pokrył. Dostojność tej odpowiedzi zniewala mnie jednak do zakończenia osobistej części sporu wynurzeniem w publicystyce niezwykłem. Naprzód atoli pragnę i ja usunąć trzy kamyki nieporozumienia:

1. Nie mogę przyjąć w zastosowaniu do siebie słowa „irytacja", bo nie znam tego uczucia. Wybucha we mnie czasem i ponosi mnie gniew, którego charakter i źródło w zapowiedzianem objaśnię wynurzeniu. 2. Mówiąc o „starszych panach z kulturą" miałem na myśli starczość a nie starość. Ci panowie z kulturą — to ludzie złotego środka, którzy w najlepszych (liczebnie biorąc) latach swojego życia, przed — w czasie — i po wojnie światowej starczością swojego charakteru mnóstwo szkód Polsce wyrządzili. Nigdy oni młodości nie znali. 3. Nie zaliczam do tych panów szanownego rozmówcy mojego, a skrzydło Furji tylko przez moją niezgrabność pisarską osobiście go zawadziło. Przeoczyłem, mianowicie, i nie umieściłem okresu, którym miałem w planie zamiar wyznaczyć odległość i różnicę pomiędzy osobą p. Konińskiego a typem chwiejnej i starczej warstwy oświeconej złotego środka. Brak tego okresu wywołał wrażenie, że wszystko, co mówiłem o typie owym, odnosiło się również do mojego rozmówcy. Nie. Muszę jednak przyznać, że przedmiotem mojego gniewu w rozprawce p. Konińskiego (o polemice zakopiańskiej) był pewien, wyraźnie dający się odczuć, rys ugodowy. O ten jedynie rys mi chodziło, a nie o całą indywidualność autora. W szkicu „Miara miar" dowodziłem, że zasadniczo moje i p. Konińskiego stanowisko jest to samo. Wynika stąd, że od początku odróżniałem osobę mojego rozmówcy od typu, na który gniewem się obruszyłem. Żałuję, żem tego jasno nie zaznaczył.

A teraz wynurzenie... Rzeczową do niego odskocznią niech będzie zakończenie odpowiedzi p. Konińskiego, mówiące o tem, że „najzażartsze spory wybuchają tam, gdzie na gruncie przynależności do jednej idei działa jakaś tajemnicza *differentia specifica*". Ośmielam się tu, dla wypadku naszego sporu, przedstawić ze swojej strony tę różność szczególną w postaci mojej Kassandry. Wiele z tego, co piszę polemicznie, powstaje pod tchnieniem ponurych przewidywań, które mnie nawiedzają o przyszłości człowieka, jako gatunku. To moja Kassandra. Najkrócej wyraża to dwu-wiersz Mickiewicza, przytoczony raz właśnie przez p. Konińskiego:

> Wszystko przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie
> Wezmą dziedzictwo mali, cisi, ciemni ludzie.

Niema na świecie myśli posępniejszej. Bronił się przeciw niej Fryderyk Nietzsche — ten polski duch w niemieckiej szacie — i z tej obrony począł się „Zaratustra". Otóż, mam swoją wiarę w tem wielkiem życia zagadnieniu, ale kiedy się myśli naukowej powierzę, widzę, że nic nie wiadomo. Pozostaje tylko nadzieja, ale i ta niekiedy ulatuje, a wtedy snuje się dokoła mnie i świat mi kirem zasnuwa żałobna postać Kassandry. Mniejsza o to, że zbliża się kataklizm, który pogrzebać może cywilizację. To można przetrwać, z tego można się podźwignąć. Ale jeżeli człowiek zmaleje, znikczemnieje, zmałpieje, jeżeli z niego nie powstanie twór wyższy, to będzie kres, najpodlejszy kres życia na ziemi. A w takim razie nie warto żyć. Kiedy zaś w czarnym owym ducha nastroju napotkam objaw słabości u ludzi, na których typie możnaby oprzeć nadzieję, a nadomiar, gdy zdarzy się, że o mnie zaczepią, wtedy od ostatecznej rozpaczy, od Kassandry mojej ratuje mnie furja gniewu rozpętanego. Szalony galop Walkiryj w porywającem tempie muzyki Wagnera orzeźwia czoło. Bywa jednak, że w chmurach nie widzi się, kto tam kopytami na ziemi może być niewinnie stratowany. Dla przyjaciół jedyne wtedy — narazie — ocalenie stanowi czerwony (niezawsze jednak czynny) ołówek redaktora. (Na kim się mełło, na nim się skrupi!...)

Tak się kończy osobista część naszego sporu. Pozostaje *meritum*, które rozmówca mój słusznie na przyszłość odłożył, bo to sprawa obszerna. Jeżeli jeszcze kiedy się spotkamy, to proszę wierzyć, że już do sporu żadnych „akcentów" zbędnych nie wniosę.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

JESZCZE W SPRAWIE GRANICY WSCHODNIEJ

ARTYKUŁ mój p. t. „Jak to było z granicą wschodnią?" („Myśl Nar". Nr. 31 z dn. 17 VII 32.) spotkał się z zarzutami polemicznemi prasy sanacyjnej, przeciwstawiającemi się głównym jego tezom.

Polemiki takie ukazały się dwie: w „Dniu Polskim" (z dn. 21 VII 1932), oraz w „Czasie" (z dn. 17 VII 1932). Artykuł w „Dniu Polskim" odpowiedzi nie potrzebuje: niema w nim istotnych usiłowań wykazania, że niezrealizowanie linji granicznej Komitetu Narodowego (umieszczającej w Polsce Kowno, Lipawę, Dyneburg, Mińsk, Bobrujsk, i Kamieniec Podolski) nastąpiło z przyczyn innych, niż te, na które staraliśmy się zwrócić uwagę. Jest tam natomiast wyrażony pogląd, że zamiast programu narodowego, sformułowanego w postaci wyżej wymienionej linji Komitetu Narodowego, obóz „Dnia Polskiego" byłby wolał widzieć urzeczywistnienie programu federalistycznego, polegającego na „utworzeniu buforowych państw Ukrainy, Bia-

łorusi, Litwy, Łotwy i Estonji — opierających się na pewnego rodzaju protektoracie Polski". Artykuł w „Dniu Polskim" potwierdza więc naszą tezę, że na szali wypadków zaważył czynnik swoistego partykularyzmu kresowego, przeciwstawnego interesom narodowym polskim, — gotowego okupić urzeczywistnienie pewnych swoich celów nad Dnieprem itp. — zrezygnowaniem z bezpośredniej inkorporacji do Polski szeregu ziem istotnie do naszego obszaru narodowego należących i objętych linją Komitetu Narodowego. Polemika nasza z „Dniem Polskim" jest więc zbędna: w gruncie rzeczy nie różnimy się w ocenie związku przyczynowego faktów historycznych. Różnimy się natomiast treścią naszego patrjotyzmu.

Inaczej z artykułem w „Czasie". Dziennik krakowski tę samą ma ojczyznę, co i my, — nie szuka jej ani na stepach naddnieprzańskich, ani w Estonji, — argumentację naszą w sprawie linji granicznej na wschodzie uważa za „bardzo słuszną i trafną". Uznaje natomiast za właściwe — licząc najwidoczniej na słabe poinformowanie swoich czytelników — podawać w wątpliwość to, że linja ta istotnie była przez „narodową demokrację" proponowana. Dyplomatycznie również przemilcza sprawę Kowna, Lipawy i Dyneburga, oraz sprawę zagadkowych posunięć polityki Naczelnego Wodza w sprawie Wilna i Małopolski Wschodniej. (Nawiasowo mówiąc — *qui tacet, consentire videtur*).

Natomiast koncentruje swój atak polemiczny na sprawie postawienia problematów Mińska i Kamieńca w pertraktacjach ryskich i twierdzi, że winę ustalenia obecnej linji granicznej na tych odcinkach ponosi ...endecja!

Otóż:

1) Utrudniona pozycja Polski w Rydze jest wynikem faktów poprzednich, — przedewszystkiem wyprawy kijowskiej.

2) Mińsk nie był po inwazji militarnie odzyskany, — jego utrata polityczna jest konsekwencją utraty militarnej po wyprawie kijowskiej.

3) Kamieńca bez niczyjego nacisku zrzekła się Polska *expressis verbis* w układzie z Petlurą przed wyprawą kijowską. Nie ułatwiło to z pewnością późniejszych pertraktacyj rewindykacyjnych z delegacją Ukrainy sowieckiej w Rydze.

4) Traktat w Rydze oddał nam duże terytorjum na północnym wschodzie, militarnie przez nas po inwazji nieodzyskane. Odzyskanie tego ważnego terenu, dającego nam wspólną granicę z Łotwą, związane było z ustępstwami w innych sprawach.

5) Obarczanie „endecji" wyłączną odpowiedzialnością za pertraktacje w Rydze, gdy ani ówczesny minister Spr. Zagr. nie był „endekiem", ani delegacja pokojowa nie była czysto „endecka", jest conajmniej nieścisłością polemiczną

Powyższa odpowiedź sofistycznemu polemiście z „Czasu", zdaje się, powinna być uznana za wystarczającą.

Korzystam natomiast ze sposobności dla sprostowania zasadniczej omyłki zecerskiej, jaka wkradła się do omawianego mego artykułu, a mianowicie w zwrocie: „osobistym wysiłkiem marsz. Piłsudskiego w Genewie" (str. 447 kol. I w. 23 od dołu) zamiast „w Genewie" wydrukowano: „w Senacie".

WIEL.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Książką o poważnej wartości naukowej, a mimo to napisaną zajmująco jak powieść, jest dziełko zmarłego niedawno uczonego Jana Ptaśnika „Życie żaków krakowskich", wydane w cennej i żywo przez prof. Ganszyńca prowadzonej „Bibljotece Filomaty". Rzecz ta nie jest z u p e ł n ą nowością — choć się tak wydawało generalnemu recenzentowi warszawskiego tygodnika literackiego. „Życie" było już raz ogłoszone za życia autora, a wyjątki z niego zamieszczono w czytankach. Obecne jednak wydanie różni się od poprzedniego, jest obszerniej ujęte, a w wielu szczegółach poprawione. Dowiadujemy się z tej książki wielu ciekawych rzeczy. Najciekawszy jest niewątpliwie opis „otrzęsin z grubego obyczaju", jakim poddać się musieli wszyscy „pierwszoroczniacy", zwani wówczas „*beanami*" *(beanus est animal nesciens vitam studiosorum)*, obrzęd to naśladowany wprawdzie z zagranicy, ale żałować należy, że autor nie rozważył go na szerszem tle porównawczem — okazałoby się, że miał on oparcie i o rodzime zwyczaje, zachowane po dziś dzień w niektórych okolicach na wsi oraz w cechach rzemieślniczych. Co do ustroju społeczności studenckiej w dawnej Polsce, cechą najbardziej istotną jest życie internatowe, system bursalny, przyjęty z uniwersytetu paryskiego, będącego wzorem dla akademji wskrzeszonej przez Jagiełłę. System ten miał na celu ochronę moralności, niezawsze jednak cel swój skutecznie osięgał. Zdarzały się bowiem w życia akademnickiem różne ekscesy: pijaństwa, burdy, wybryki erotyczne, zatargi z władzą uniwersytecką; koroną wszystkiego był słynny *exodus* żaków krakowskich, uwieczniony znakomitym obrazem Matejki. Od chwili tego — mówiąc dzisiejszym językiem — „strajku akademików" rozpoczyna się upadek uniwersytetu krakowskiego. Młodzież, która wpierw okazywała wielką żywotność, zarówno naukową jak polityczną, teraz skrzywdzona upomniała się o swe prawa, a nie mogąc ich uzyskać, solidarnie opuściła akademję, udając się na uniwersytety zagraniczne. Dalsze wieki — do czasu reformy Kołłątaja — to okres stagnacji wszechnicy. Profesorowie, coraz gorzej uposażeni, przestają być szerzycielami wiedzy, stają się oportunistami i lichymi panegirystami o coraz to niższym poziomie naukowym, „rozstrzygają" — jak pisze Maricius — „swą nauką w rozlicznych dziedzinach, które często do właściwego ich zawodu nie należą". Władze zaś nie rozumieją, że „w interesie ich i państwa leży rozkwit zakładów naukowych" i nie tylko nie udzielają na nie najmniejszych zasiłków, ale też nie dbają o to, by złu przeciwdziałać. „Niedługo zaś się pokazało, że obniżenie naukowego poziomu uniwersytetu fatalnie oddziaływa na obniżenie się m o r a l n o ś c i wśród profesorów i uczniów". Znamienna jest słynna mowa rektora Walentego Fontana, współczesna „Kazaniom sejmowym" Skargi (1597) i z wielu względów do tychże podobna, a zakończona gorąca modliwa, by „wróciły dawne czasy, dawna uczciwość i zamiłowanie do nauki".

Książka ta, stanowiąca jakby uzupełnienie znakomitej, a już dawno wyczerpanej „Historji uniwersytetu Jagiellońskiego" Kaz. Morawskiego (kiedy doczekamy się jej wznowienia?), zawiera wprawdzie niejedną lukę, ale jest nieodzowna dla każdego, kto chce poznać dawną obyczajowość polską. Ozdobą obecnego jej wydania są liczne ilustracje, będące reprodukcjami z obrazów Matejki, sztychów Burkmaira, Breughela etc. (J. B.)

*

„Podziemna dyktatura" P. O m m a ukazała się w przekładzie polskim, nakładem Gebethnera i Wolffa. Jak stwierdza Adolf Nowaczyński w swej treściwej przedmowie, jest to najlepsza, najciekawsza i najżywsza książka o Ameryce prohibicyjnej. Pan Omm jest osobistym sekretarzem Al Capone—rewelacyjny dokument dużej wagi. Książka ta demaskuje Amerykę podziemną, przerażające głębie, rozmiary i mistrzowską technikę zbrodni i korrupcji. Proceder gangsterów korrupcja władz policyjnych i sądowych, masakry uliczne, szantaże i uprowadzenia (przypomnijmy sobie nieszczęsnego Lindbergha), miljony i ogromne wpływy polityczne Al Capone, Diamonda, i innych królów trustowego występku — wszystko to składa się na rewelacyjny, infernalny obraz życia amerykańskiego.

*

Ukazało się polskie tłumaczenie książki K n i c k e r b r o c k e r a p. t. „Czerwony handel" Warszawa 1932 r. str. 242. Książka ta, bardzo czytana na zachodzie, wydana została jednocześnie w Nowym Jorku, Londynie i Berlinie. Autor

ej, korespondent wielkiego dziennika amerykańskiego opisuje wrażenia ze swej ostatniej podróży do Rosji, uwzględniając specjalnie słynny plan pięciolecia. Jak w kalejdoskopie widzimy z barwnie napisanych stronnic książki trudności żywnościowe w wielkich miastach, jazdę koleją sowiecką, przypominającą tortury chińskie, nowe kolosalne fabryki, budowane przez inżynierów amerykańskich, których ilość sięga w tej chwili tysiąca, największe fermy świata, liczące po kilkaset tysięcy hektarów, plantacje herbaty i pomarańczy, słoneczne wybrzeża kaukaskiej Riwiery, kopalnie węgla z ich okropnemi warunkami pracy, wreszcie postać tajemniczego Stalina, dyktatora Rosji dzisiejszej. Co uderza przy czytaniu książki—to sympatja, jakiej autor mimo wszelkich czynionych zastrzeżeń, ma dla planu pięciolecia. Wynika ona z zamiłowania Amerykanina do kolosów w dziedzinie gospodarczej, z wewnętrznego pokrewieństwa, jakie łączy to, co nazywamy „amerykanizmem", z realizowanym obecnie przez komunistów planem pięciolecia. (J. P.)

*

W serji Zajmujących Czytanek Polskich Autorów, wydawnictwa księgarni M. Arcta w Warszawie, wydane zostało opowiadanie Leonarda Chociłowskiego „Złamany bagnet". Autor „Podręcznika gajowego", rozpowszechnionego w kilku nakładach, redaktor czasopisma „Echa leśne", prowadzi żywą propagandą miłośnictwa lasu, i w szeregu artykułów fachowych dał się poznać jako wybitny znawca leśnictwa. Po wydanem niedawno studjum krytycznem „Las w poezji polskiej", opowiadanie „Złamany bagnet" przejawia talent narracyjny, pełen temperamentu, o nastroju idealistycznym. Wojnę światową przeżył młody pisarz na dalekich Kresach, w Mińszczyźnie i na Ukrainie, a dar obserwacji i poczucia humoru uposażają postacie jego książki w rysy charakterystyczne, ze skłonnością do groteski. Typy Rosjan, Niemców, obrazy zawieruchy wojennej, wśród której przewijają się losy młodego żołnierza polskiego, kreślone są plastycznie, z ujmującym sentymentem i bezpośrednią prostotą. Akcja opowiadania rozwija się w atmosferze życia obozowego na tle krajobrazów kresowych, a narodowa tendencja książki wyrażona jest w sposób artystyczny i przekonuje szczerością uczucia. (A. W.)

*

„Linje i barwy"—tomik poezji Marji Muszałówny cechuje rozległy dobór tematów, ujętych nie zawsze w starannie opracowaną formę. Dowiadujemy się z utworów o wrażeniach, nastrojach, snach i przeczuciach autorki. Pisze ona te rzeczy wierszem, rymem często kulawym, a gdy braknie rymu, poetyczną prozą. Czy utwory te są rezultatem talentu? Bez kwestji, obok przysłów zdawkowych i od wieków uświęconych tradycją poetyczności, kilkakrotnie przez zbiorek przenika pewna świadomość, że potrzebna jest poecie praca artystyczna. To też może w przyszłości ta świadomość powstrzyma autorkę od posługiwania się szablonami uczuć, i da w następnych jej utworach czystsze złoto natchnienia. Nie brak bowiem niektórym wierszom, np. „Pomarańcze" oryginalności, a wierszom „Burza bez deszczu" i „Wachlarz" szczerego liryzmu i daru obrazowania. (A. W.).

*

„Zaranie Śląskie" czasopismo miesięczne, wydawane w Cieszynie, rocznik VIII, numer w tym roku pierwszy, przynosi szereg artykułów, których treść z historji i obyczajowości Śląska, wiąże się nierozłącznie z historją i kulturą Polski. Redakcją pisma kieruje komitet, złożony z pochodzących ze Śląska literatów i uczonych. Wśród ich nazwisk jaśnieje, opromienione sławą nazwisko Gustawa Morcinka. Na treść powyższego numeru „Zarania" składają się artykuły, Pawła Musioła „Literatura śląsko-polska XVIII wieku", Gustawa Morcinka „Dawny nauczyciel śląski", Jana Wantuły „Starodawne roty przysiąg na Śląsku", Władysława Górnikiewicza, „Szkolnictwo na Górnym Śląsku przed stu laty", ks. Andrzeja Burka „Jeden z najdawniejszych dokumentów języka polskiego w Cieszynie", Mieczystawa Gładysza „O zbieraniu materjałów ludoznawczych". Nadto numer zdobią wiersze J. Birkenmajera. W dziedzinie studjów naukowych nad historją Śląska oddawna uczeni polscy poświęcali wiele pracy. Dość wymienić monumentalne studjum Oswalda Balcera „Genealogia Piastów". Od czasu wyzwolenia części Śląska, jak widać, praca badawcza wzmogła się wydatnie i zyskała na sile, ukazując coraz nowe więzy organicznego i odwiecznego związku tej dzielnicy z macierzą. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Gustavo Pesenti ogłosił *„Il Combatimento di Dadane"* (Bitwa pod Dadane) — *„L'Eroica"* — Medjolan — (L. 10). Autor książki, pułkownik strzelców alpejskich, jest doskonałym znawcą kraju Somalów, autorem illustrowanych muzyką „Pieśni Somalów, Arabów i Suahilów", jako wojskowy brał wybitny udział nietylko w wielkiej wojnie, ale też i w walkach o kolonje Afrykańskie, traktuje więc przedmiot z niezwykłą kompetencją wojskową.

Gustaw Pesenti należy do liczby owych pięciu poruczników, co w 1907 roku na czele 5 kolumn Askarów (500 żołnierza), ustawionych w czworobok na wydmach nadbrzeżnych miejscowości Danane w Somalji, wytrzymali z legendarnem męstwem straszny atak okrężny zbuntowanych krajowców, uzbrojonych w zatrute strzały i walczących pod wodzą sfanatyzowanego derwisza, który ich podjudził do powstania. Potyczka miała miejsce w nocy. Wicher monsum szalał, fale wzburzonego oceanu z hałasem i rykiem waliły ku brzegowi. Krzyki i przekleństwa wroga dochodziły do uszu osaczonych i mroziły krew w sercu.

Na kartach książki odbiły się wyraziście te straszne przeżycia. Dzieło pułkownika Pesenti niema jednak na celu budzenia wrażeń, jest to bowiem praca historyczna, poważna i prosta; jest to wyczerpująca analiza tak samej bitwy, jak i jej skutków. Gdyby Włosi wówczas zostali pobici, ruch antywłoski objąłby swem zarzewiem całą Somalję i kolonja ta byłaby stracona. Zwycięstwo atoli skłoniło się ku Włochom. Bunt został stłumiony. Wielki obszar Somalji został w obrębie cywilizacyjnych wpływów i odtąd szybkiemi kroki zmierza ku lepszej ekonomicznej przyszłości.

Książka pułk. Pesenti zawiera szereg ciekawych szczegółów z geografji i topografji kraju, z jego stosunków demograficznych i obyczajowych. Opatrzona jest planami bitwy pod Danane. (E. N.)

ZMARLI

Ś. P. JÓZEF DUNIN

W KIELCACH zmarł po długiej chorobie wybitny prawnik i zasłużony działacz społeczny Józef Dunin, urodzony 15 grudnia 1852 r., w majątku rodziców swoich, Wyganowie, w powiecie jędrzejowskim. Rodzicami jego byli Bolesław i Marja z Wolskich Duninowie. Mieli oni czterech synów, z których Józef był przedostatni. Wszyscy czterej zajęli wybitne w społeczeństwie stanowiska, najstarszy Karol był znanym adwokatem, Bolesław był dyrektorem telefonów w Petersburgu. Józef oddany wraz z najmłodszym bratem Teodorem do szkoły pińczowskiej, ukończył ją w r. 1870. Miał następnie być oddany na studja rolnicze ale nie było już na to w domu środków. Aby zarabiać na chleb przyjął posadę w kieleckiej Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, którą jednakże porzucił w roku 1872, aby się zapisać na uniwersytet warszawski. Ukończył tam wydział prawny w roku 1876. Ojciec jego był wtedy sędzią gminnym w Opocznie

Pod koniec roku 1876 Józef Dunin zapisał się na aplikację do Sądu Okręgowego w Kielcach i tu pracował trzy lata, jako pomocnik sekretarza. W roku 1880 został adwokatem w Kielcach i na tym posterunku dotrwał do końca dni swoich.

Całą duszą Kielczanin, nie mógł być obcy miejscowemu życiu społecznemu. W roku 1900 zawiązał w Kielcach Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe, które sam prowadził, jako prezes, lat dwadzieścia. W tym czasie stworzył Towarzystwo Kredytowe miasta Kielc. Prezesem jego był do roku 1927, kiedy porzucił to stanowisko z powodu złego stanu zdrowia.

Dunin zasłynął wkrótce po rozpoczęciu praktyki adwokackiej, jako doskonały prawnik. Wybił się na czoło palestry miejscowej i zasłynął w całym kraju. Uznano w nim nietylko rozległą wiedzę zawodową, ale wybitny talent, którym się odznaczał jego umysł prawniczy.

Miasto Kielce wiele mu zawdzięcza na polu rozwoju ekonomicznego. Ogół cenił w nim wybitnego obywatela. W roku 1926 obchodzono w Kielcach w ścisłem gronie przyjaciół jego jubileusz. Była to pięćdziesiąta rocznica pracy na polu sądownictwa.

Ś. P. Józef Dunin przeżył o rok niespełna młodszego znacznie od siebie, serdecznego przyjaciela ś. p. Wiktora Jarońskiego. Śmierć jego okryła żałobą palestrę kielecką i całą kieleczczyznę, której był chlubnym przedstawicielem.

Niechaj spoczywa w pokoju!

OFENSYWA

SZARAK

EKSPANSJĘ i popularność już nietylko w motłochu ulicznym, ale w tak zwanej inteligencji krakowskich perjodyków, należących do szantażowego i kuplerskiego koncernu podwawelskiego Al-Capone'a przypisać należy i obciążyć tem *conto* innych dzienników w Krakowie wychodzących, w pierwszym rzędzie „Czasu"; w drugim rzędzie organów o ideologjach innych.

Od maja r. 1926, do Dzikowa i Nieświeża „Czas", jako organ konserwatywny, kojunktury miał dla siebie, mówiąc szczerze, poprostu świetne. Początkowo coprawda boczył się i sarkał na zebrzydowszczyznę, na wstające upiory Sicińskich, Kostków-Napierskich, Zborowskich, Radziejowskich, Piekarskich i t. p., ale z czasem się przekonał, że analogje nie we wszystkiem dadzą się dociągnąć bez... bez reszty. Kiedy „prawa odchylenia", „prawa ukłonu" zaczęły być w Warszawie kursem miarodajnym, „Czas" powoli zaczął przyjmować orjentację włoską. Swego czasu, kiedy w Krakowie gościli: Wł. Mickiewicz i p. Skirmunt, redaktor prof. Estreicher w pięknej mowie zapewniał i zaklinał, że Kraków zawsze był „kolebką orjentacji francuskiej" (od czasów Morsztyna). W rok potem okazało się przy okazji wizyty dziennikarza angielskiego, że Kraków (jak zapewniał prof. Dyboski) był zawsze od wieków „kolebką orjentacji angielskiej". Tymczasem Kraków konserwatywny winien był już raczej zostać kolebką orjentacji: włoskiej faszystowskiej, a „Czas" tej orjentacji chorążym, heroldem i strażnikiem.

Z powodu? Po pierwsze, że to był światopogląd Popielów, Bobrzyńskiego, Koźmiana, Szujskiego, Walewskiego i wogóle „krakowskiej historycznej szkoły".

A po drugie? Przeczytajcie sobie od *a* do *zet* dwa razy z rzędu starannie opracowany referat prof. St. Kota ze zjazdu naukowego im. J. Kochanowskiego p. t. „Polska Złotego Wieku wobec kultury Zachodniej", i zaraz się wam wyjaśni wszystko, a to głównie, że Kraków w najświetniejszej swej dobie (wiek XVI), jako ta włoskiego humanizmu cytadela całej Polsce dał podstawy cywilizacyjne italskie.

Zwracało się na to uwagę rodzinnego miasta w dwugodzinnej prelekcji o faszyźmie *anno Darumal*, w pierwszym wogóle odczycie na ten temat, wygłoszonym gdziekolwiek poza granicami Italji. Gęsto i ostro ostrzeliwał ten odczyt wonczas od strony ul. Dunajewskiego organ marszałka Piłsudskiego „Naprzód"... Przemilczał to natomiast całkiem sklerotyczny, ischiasowaty, zakatarzony i postękujący ówczesny „Czas". A wtedy właśnie była okazja, żeby jegomość poddał się szybko kuracji Woronowa czy Einsteinacha i stanął w publicystyce na czele *„risorgimento"*. Ale nie z taką oczywiście brygadą redakcyjną, nie ze zmachanym i wyjałowionym dr. Beauprém lub starczym i kwaśnym jak ocet Paszkowskim. Trzeba było wtedy mocno przydusić do ściany Krzeszowice, Łańcut, Dzików, Chłopy, Balice, Oświęcim, Gumniska, Olszę, Żywiec i t. p. i zafundować sobie personel świeży, młody, po italsku *expedite*. To była „godzina Czasu". To był moment, kiedy dla konserwatywnego, tradycjonalistycznego myślenia otwierały się nowe rynki zbytu i nowe głowy do absorbcji. Wtedy mogli zdobywać i zyskać dla siebie to wszystko, co potem zgarnął łajdackiemi metodami krakowski Tasiemka. Ludziska były znudzone bezsilnością i bezradnością „partyjnictwa" i gotowe się rozpalić i rozentuzjazmować do czegoś naprawdę nowego, mocnego, zdrowego, agresywnego, zdobywczego, myślowo napastniczego i zuchwałego. Sejmokracją gardziły dziadki Stańczyki, więc łatwo można było nawiązać nici...

Nawet na *export* do Warszawy mógł liczyć „Czas" konserwatywnie faszystowski; mógł odegrać taką rolę. jaką *mutatis mutandis* odgrywa *„Frankfurter"*, *„Koelnische"*, *„Manchester"*, *„della Sera"*, *„Depêche de Toulouse"*...

Ale docenty i referenty z „Czasu" to może i rysaki, i *Vollblut'y*, ale z... kieratu; odrabiać swoje i iść spać, a dwa razy w tygodniu: *„Grand"*... i konwersacja... z Flakiem czy Flachem na niewyczerpany temat Endeków i Warszawy. Prześlepili psychologiczny moment. *„Verpasste Angelegenheiten"*. Mogli zrobić ranne, popularne, tanie wydanie (Endecy im grzecznie nie przeszkadzali), mogli wejść w społeczeństwo nie tylko konjunkturalnie, czasowo (póki Dziadka w ciasnej ulicy), ale na stałe, na wynos, na wyrost. Ale cóż, zasnęli tego dnia krytycznego, a na ich miejsce wlazł arcykanalarz i rankami obwozi w „Talardach" swój „nawóz", „niezależne" *guano* na wszystkie boki i strony

I zamiast się odmłodzić, „Czas" zramolał i skapcaniał cokolwieczek. Czytać go można i jest „czytalny", boć doskonałe czcionki i tekst zawsze solidny, rzeczowy, poprawny, wszechstronny i w głąb i w Europę. W zestawieniu z brudactwem, rozwielmożnionem w Krakowie, *correct*, *fair* i uczciwość 60%-centowa. I w każdym numerze kogut polemiczny jakieś pożywne ziarnko by znalazł.

Par exemple weźmy pod obstrzał grządkę „literaturnej" krytyki. Tu upadek przepaścisty. Tam, gdzie bywały maczugi Herkulesa, tu teraz jedna wielka pięta Achillesa. Gdzie grywał Apollo, tam teraz Marsjasz pokraczny. Gdzież ta *noblesse oblige?* Gdzież szczezły piękne tradycje? Pamięta się w fejletonie: Koźmian, Tarnowski, Chłędowski, Morawski, Pawlicki, Mycielski. Potem: R. Starzewski, Rosner, Ehrenberg, Rittner, drugi Morawski, Piniński, bywało i Raczyński, i Lanckoroński, Estreicher *senior*, Estreicher *junior*, wszystko, jeden w drugi, indywidualności, style, erudycje, bibljoteki, poliglotty, stańczykierja coprawda i stańczykerie czasami, ale klasa, ale rasa, ale *niveau!*

Niveau!

A teraz co?

Szarak, szaraczek, referent literacki, „najlepszy uczeń Flaka", „najtęższy epigon Feldmana", *quidam*, *nequam*, zero - czek, *nullo*. nijak, żaden, referent literacki, „manipuła"... p. K. Czachowski. Najpierw książki rozcina, potem czyta, potem zasypia i pisze. Referat pisze. Ale co pisze? Atramentem pisze: wodę. Czarne upławy. Szarak. Ale ten szarak to partyjnik, zawzięty, liberyjny partyjnik. *Kadawergehorsam*. Ma sierżant nakazane: przemilczać Endeków, tępić narodowców, gasić warszawistów... Więc ślepo posłuszny: rozpłaszcza się przed żydami, obkadza Skamandrony, Asza gotów w piętę pocałować, ale przed Rostworowskim markuje respekt.

I tak referuje ten pan Czachowski, referent, już całe lata szaro, jałowo, tandetnie, sieczkowato, to tu, to tam się podlizując i przymilając. A tylko raz na rok uda mu się mniejwięcej zwrócić na siebie uwagę nietylko zecerów, ale i czytelników oraz redakcji...

Ostatnio tak się przydarzyło szarakowi z „Czasu" w nr. z 13 lipca w czarnych upławach o „Zniesionych Placówkach Kultury". Jako że wedle kontraktu ma być z przekonań konserwatywny. ale... oświecony i... liberał, więc liberalnie napisał nekrolog dwóch oświeconych efemeryd literackich, dodając k'temu:

„Na całym froncie naszego czasopiśmiennictwa literackiego mocno się trzymają jedynie „Wiadomości Literackie", na silnych oparte podstawach, redagowane sprężyście i z dużem wyczuciem potrzeb chwili".

Było to świeżo po ataku wodowstręty seksualistycznego jakiegoś babsztylka prowincjonalnego, który dziewicą czternastoletnią będąc uciekł, skacząc na równe nogi z piętra klasztoru Sióstr Niepokalanek w Nowym Sączu, a potem o tem zwierzenia (zwierzęco nieco) w „Wiadomościach Literackich" uważał za wskazane *coram publico* poczynić.

Zirytowało to nawet *Lectora* z wileńskiego konserwatywnego „Słowa", który trzepnął Szaraczka po ogonie następująco:

„Święta prawda: „Wiad. Lit." odznaczają się równie doskonałem „wyczuciem potrzeb chwili", jak słynny „Tajny Desektyw"... Ale czy to jest naprawdę wielką zaletą czasopism?"

Dla „Czasu" tak. Ale dla hrabiego Tarnowskiego, mającego dwie córki zakonnicami u Sióstr Niepokalanek: nie..., jak się można było o tem przekonać z tegoż „Czasu" z dnia następnego t. j. 14 lipca, gdzie hr. Tarnowski protest swój przeciw „Luter - ackim Wiadomościom" zamieścił.

W ten sposób udaje się p. Czachowskiemu, Szaraczkowi jednak zwrócić na siebie i swoje płukanki uwagę czytelników Talmi - torysowskiego „Czasu". Poczem znów rok upływa i o nim nikt nigdy nigdzie nic. I wtedy znów coś interesującego i ciekawego popisze i znów w „Grandzie" spotykając się p. Zechenter z p. Staudyngerem, albo p. Flach z dr. prof. Platt - fussem zaczynają dyszkurs od: ...„czytaliście co w „Czasie" napisał Czachowski"?...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Sensację wywołało skandaliczne zachowanie się radcy poselstwa niemieckiego, barona von Rintelena, który lokajowi swojemu nakazał zdjąć flagę polską, wywieszoną w dniu „Święta Morza" na domu, gdzie zamieszkuje. Jeszcze większe wrażenie wywołała wiadomość, że nietaktowny dyplomata nietylko nie zostanie odwołany, ale postępowanie jego zostało całkowicie przez niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych zaaprobowane. Największy efekt sprawia wszakże wiadomość trzecia, podana przez wileńskie „Słowo", że to... baron von Rintelen wysłał z okazji zajścia notę protestującą do rządu polskiego i że polskie „Ministerstwo Spraw Zagranicznych odpowie baronowi von Rintelen na jego notę"...

Jak widzimy, jesteśmy w całej pełni sukcesów naszej dyplomacji „mocarstwowej"...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM